Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 1.20 gr.

BIBLIOTEKA WYŻSZEJ SZKOŁY EKONOMICZNEJ W GDAŃSKU

# WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dn. 8 lutego 1953 r.

Nr 6 (392)

W NUMERZE:

*J. J. LIPSKI — Próba wyjścia z błędnego koła* *A. KOWARA — Krajobraz stalingradzki*
*P. PIGWA — Historia całkiem niezwykła* *J. CIOSEK — Opowieść o dobrej nauczycielce*
*J. WACZYŃSKI — Wróg wolności* *J. K. MACIEJEWSKI — Listy z Brazylii*
*K. OLEKSIK — Zmartwienia Ojca Ekonoma* *W. OSINA — Szyld i prawda*
*ST. STASZYC, ST. ŻEROMSKI, B. PRUS — Dzienniki, Kroniki, Listy*
*M. INGLOT — Pisarze słowaccy* *J. AMADO — Kamienny mur*

**PLAN — TO PRAWO NIEZŁOMNE PAŃSTWA BUDUJĄCEGO SOCJALIZM. WYKONANIE ZADAŃ PLANOWYCH — TO NAJWYŻSZY OBOWIĄZEK KAŻDEGO ROBOTNIKA, TECHNIKA, INŻYNIERA, KIEROWNIKA. OBOWIĄZEK TEN MUSI UTRWALIĆ SIĘ W ŚWIADOMOŚCI KAŻDEGO Z NAS JAKO PRAWO, KTÓREGO NIE WOLNO ŁAMAĆ.**

**BOLESŁAW BIERUT**

WOJCIECH DRYGAS

# HISTORIA 140.000 ZŁOTYCH

W kancelarii siedziało jak na jakimś przesłuchaniu sześć czy siedem osób — mężczyźni i kobiety. Gdy odpowiadali na moje pytania byli sztywni i wstrzemięźliwi w formułowaniu zdań. Zdawałem sobie sprawę, że podglądanie ich tajemnic nie było z mojej strony delikatne, lecz tylko w ten sposób mogłem dociec zagadki owych 140 tysięcy zł, które jeszcze w lutym 1952 r. wykazywano w księgach kasowych, a już w osiem miesięcy później gdzieś przepadły — rzekłbyś rozwiały się, jak babie lato.

140 tys. zł. — to kawał grosza, nawet jeśli mierzyć możliwościami takiej spółdzielni produkcyjnej, jaką jest Biała Rawska. Było więc w tej sprawie coś niejasnego. Wypowiedziałem to rozmyślnie z odcieniem podejrzliwości, aby skłonić siedzących naprzeciw mnie spółdzielców do głębszych wynurzeń. Uderzenie było trafne. Zaraz też zerwał się księgowy Mazgalski. Wysokim głosem zapytał, czy moim zdaniem sprawa owych 140 tys. zł. może być kwestionowana z prawnego punktu widzenia, bo jeśli tak, to on gotów mi przedstawić z całego roku raporty kasowe.

Oto mi właśnie chodziło. Rozłożono przede mną całą spółdzielczą buchalterię, przewodniczący Wasilewski stanął za moimi plecami.

— To się zaczęło o, tutaj... — wskazał palcem sześciocyfrową liczbę. — Było to w drugiej połowie lutego, a może trochę później...

*

Któregoś dnia księgowy Mazgalski odniósł wrażenie, że nadeszła odpowiednia chwila, aby w sposób oficjalny odsłonić karty swej wielkiej, upstrzonej cyframi, księgi kasowej. Poprosił więc do kancelarii przewodniczącego spółdzielni Wasilewskiego i członków zarządu. Niejednokrotnie tak zasiadywali wokół staroświeckiego biurka wyłożonego zieloną bibułą: Wasilewski stale w czapce na głowie, Redlicki z przekornym uśmieszkiem na wąskich wargach, Szkopiński z łokciami na biurku, żując nieustannie niedopałek papierosa.

Tym razem posiedzenie odbywało się w grobowej ciszy. Mazgalski otworzył swą księgę kasową: po stronie „MA" świeciła wstydliwie biała plama, po stronie „WINIEN" podkreślił paznokciem tłustą cyfrę „140.000". Po czym napomknął, iż ratunek może sobie wyobrazić tylko w ten sposób, że natychmiast przystąpi się do gruntownej zmiany s y s t e m u g o s p o d a r o w a n i a. W przeciwnym razie — nie chce być złym prorokiem — spółdzielni grozi „krótkie spięcie".

— Krótkie spięcie? — oderwał łokcie od biurka Szkopiński. — Co to znaczy „krótkie spięcie?" I skąd się w ogóle wzięło tych 140 tys.?

Wzrok Mazgalskiego był jakby daleki i nie zatrzymywał się na żadnym szczególe.

— Zadłużenie bankowe — odpowiedział szorstko. — Zaciągało się przecież pożyczki, zaciągało bez końca... no, a teraz jest równe 140 tys. Jasne?

Redlicki, który zgubił w ponurych cyfrach rubryki „WINIEN" przekorny uśmieszek — zrobił się rdzo poważny. Dla rozrywki czytywał się wieczorami w „Panu Tadeuszu", teraz żałował, że nie zaglądał od czasu do czasu do księgi kasowej Mazgalskiego. W każdym razie — jak sir mógł obecnie o tym przekonać — można się było stamtąd dowiedzieć mnóstwo ciekawych rzeczy i, chociaż samo wnikanie w cyfry nie wystarczało przecież do zgłębienia wiedzy ekonomicznej, częstsze interesowanie się buchalterią zapobiegłoby może ewentualności, określonej przez księgowego jakimś „krótkim spięciem". Wielki to był błąd — przyznawał w duchu — a głośno oświadczył:

— Może by tak poprosić te banki o przedłużenie?

— O prolongatę? — poprawił go fachowo Mazgalski. — Wykluczone. Są wyraźnie oznaczone terminy. A zresztą co pomoże prolongata? Nic nie pomoże. Odwleczemy jeszcze o pół roku i... — tu uczynił znamienny ruch dłonią, niby zaciągając na szyi niewidzialny stryczek. Redlicki wzdrygnął się, jakby w gruszy, wciskającej się w okno, ujrzał nagle wisielca. Milczący dotąd Wasilewski poruszył się w krześle:

— Mam pewną myśl, posłuchajcie!

*

Uniosłem głowę znad księgi kasowej:

— Mówcie dalej!

Wasilewski rozwiązywał z niecierpliwym pośpiechem niebieską teczkę. Zamiast ciągnąć swoje opowiadanie podsunął mi przed nos jakiś maszynopis.

— Słaba kopia... ale chyba dacie radę odczytać...

Był to protokół z ogólnego zebrania członków spółdzielni. Na zebraniu tym przedstawiony został do zatwierdzenia projekt Wasilewskiego. Głos zabierało 18 spółdzielców, wszyscy byli zdania, że odpisać po stronie „WINIEN" — sposobem Wasilewskiego — nie będzie rzeczą łatwą, ale, gdy się ma nóż na gardle, każdy projekt lepszy, czy gorszy jest nie do pogardzenia, byle realizować go konsekwentnie już od jutra. „W jaki sposób?" — na to pytanie postawione przez Tulińskiego odpowiedział konkretnie Ostrowski, wskazując własny odcinek pracy. „Ile to wyniesie?" — zapytał po raz drugi Tuliński. Obliczenia dokonał księgowy Mazgalski, po czym oświadczył: „120 zł., czyli że nasz dług wynosić będzie tylko 139.880 złotych".

To „tylko" natchnęło widocznie otuchą zebranych w sali świetlicowej, gdyż projektodawcę i pierwszego realizatora pomysłu nagrodzono oklaskami. Na tym zebranie zakończono.

Bez przekonania odłożyłem protokół, który widocznie pisany był dla wtajemniczonych. Zwłaszcza wyszczególniona na samym jego końcu kwota 120 zł, przeciwstawiając ją wysokiej sumie zadłużeń, brzmiała mi w uszach co najmniej groteskowo.

— Nic z tego nie rozumiem... — rozejrzałem się po moich rozmówcach. Wydawali się być tym głęboko stropieni. Jako ludziom, którzy przeszli przez niejedną burzę życiową, nie łatwo im było dawać wyraz swym uczuciom. Zakłopotane spojrzenie mówiło może w takich sytuacjach więcej niż jedno słowo.

Księgowy Mazgalski, który przez cały czas pobrzękiwał w kieszeni kluczami, wyjmując je co chwilę, podrzucając w powietrzu i łapiąc z powrotem, podniósł się raptownie z miejsca.

— W takim razie może ja zabiorę głos...

*

Na drugi dzień po pamiętnym zebraniu większość spółdzielców ochłonęła już po ciosie, jaki zadało im wnętrze księgi kasowej Mazgalskiego. Snuli wielkie plany. Były to plany olbrzymie, ale nie wypływały one mimo to z jakiegoś nadmiaru nagromadzonej w nich fantazji Spółdzielcy nauczyli się trzeźwo kalkulować z ołówkiem w ręku i oblekać wszystko w realne kształty, tym bardziej teraz, jeśli nie chcieli się dostać pod koła.

120 zł, które zaproponował do wspólnej kasy Ostrowski, stanowiło dla nich wartość niewymienną. Postawiono ją sobie jako symbol. Obiecywano sobie po tym wiele. Wasilewski już od rana obchodził z calówką starą stodołę, coś tam mierzył, coś rozważał. Redlicki wyniósł się cichaczem nad stawy. Wrócił stamtąd zmoczony do suchej nitki i zaraz zabrał się do rysowania pewnej mapki. Użył kolorowych ołówków Stasia, który chodzi do przedszkola spółdzielczego.

W oborze komponował sążnisty memoriał Szkopiński. Obie dojarki zaglądały mu przez ramię i z niedowierzaniem pokpiwały. Kiedy skończył wreszcie pisać, była pora doić po raz drugi krowy. Postanowił więc złożyć memoriał w kancelarii dopiero wieczorem. Okoliczność ta sprawiła, że do Mazgalskiego zgłosili się jako pierwsi Gontarek i Chmielewski. Z minami niby obojętnymi oświadczyli:

— Przynosimy coś za jedne 20 tys. zł. To ile to teraz wyniesie ten dług? Tylko 119.880 zł? Co?

Mazgalski zaniemówił, bo nie spodziewał się od razu czegoś podobnego. Dwadzieścia tysięcy? Szczegółów oczywiście nie podobna było omówić na poczekaniu, biorąc jednak rzecz z grubsza, kwota była całkiem realna.

Pod wieczór zgłosił się z memoriałem Szkopiński.

— Spóźniliście się o pół godziny! — przywitał go księgowy. — Jesteście na liście trzeci...

— A kto jest drugi?

Drugim był Wasilewski, którego calówka jednym zamachem odmierzyła z długu trzy czwarte sumy.

W dwa, czy w trzy dni później złożył swoją mapkę, pokolorowaną ołówkami małego Stasia — Redlicki.

Członkowie spółdzielni odetchnęli z ulgą. Dług przestał im nagle ciążyć. Lecz był to przecież dopiero początek wielkiej gry.

*

— Przejrzyjcie teraz to — wsadził mi w rękę pokaźny plik papierów Mazgalski. — Stąd dowiecie się reszty...

— Cóż to takiego? — spytałem i zaraz zauważyłem mapkę Redlickiego. — Ach tak, już wiem...

Miałem więc przed sobą realizatorów myśli Wasilewskiego. Jedna myśl zrodziła w ciągu 48 godzin — pięć ważkich pomysłów. To dużo! Objąłem przelotnie siedzących sztywno pod ścianą. Byli w komplecie: Gontarek i Chmielewski, Szkopiński, Redlicki, Ostrowski, a za moimi plecami Wasilewski.

Zacząłem od Wasilewskiego. Jego pomysł zrodził się przy starej stodole — uwieńczony został sukcesem na ugorze...

*

Ten ugór to była sama glina i trochę piachu. Wszyscy zgodzili się na to, że rozbiórka niepotrzebnej nikomu stodoły, wybranie z niej co lepszych cegieł, desek i belek, zwiezienie całego tego kramu na ugór — nie zabierze wiele czasu. Ktoś wyliczył na chybił trafił 6 dni. Z tych sześciu dni zrobiły się tylko dwa. Powiedziano temu komuś: „Liczysz tak, chłopie, jakbyś wciąż jeszcze tyrał na indywidualnym, zapomniałeś, żeś od roku w zespole!" To była prawda, bo za sześć dni na ugorze wyrosły dwa nowe obiekty:

*(dokończenie na str. 2)*

KAZIMIERZ KOSZUTSKI

## ZA LAT DZIESIĘĆ...

**Spółdzielcom z Gniechowic**

**Oto jest prosta opowieść**
**o pierwszym kroku do szczęścia,**
**o gospodarzach z Gniechowic,**
**ze wsi spółdzielczej tysięcznej.**
**Kiedy za lat — powiedzmy — dziesięć**
**— a czas, jak obłok wartko płynie —**
**o zmiechu jak dziś zasiądziecie**
**w domu za stołem, za rodzinnym**
**i wspomnisz, bracie, dni co przeszły,**
**nad stosem starych fotografii,**
**wśród wspomnień, spojrzeń nieobeschłych,**
**ten dzień odnaleźć — czy potrafisz?**
**Ten dzień, wśród innych dni niełatwych**
**jedyny, może najtrudniejszy,**
**kiedyś sękatą ręką statut**
**spółdzielni podpisywał — pierwszy.**
**Tu, tego domu, co na zdjęciu**
**w cień się zanurzył starych klonów,**
**za dziesięć lat może nie będzie**
**wśród nowych, jasnych, pięknych domów.**
**Czy wśród gromady skrzatów psotnych,**
**co na tym zdjęciu ptaki gonią**
**poznasz: ten smyk — to dzisiaj lotnik,**
**a ta smarkula — to agronom?**
**Odwracasz kartki w kalendarzu,**
**przeglądasz zdjęcia — czy poznajesz**
**przyszłych górników i lekarzy,**
**mistrzów wysokich urodzajów?**
**Czy wśród strzelistych wstęg autostrad**
**ślad własnych kroków swych rozpoznasz?**
**Gdzie kręte, ciemne ścieżki — prosta**
**droga jak strzelił — pęd i rozmach.**
**A w domu każdy czuły drobiazg:**
**radio, czy książka, list od zięcia**
**szepczą, żeś dobrą drogę obrał**
**w tym trudnym dniu sprzed lat dziesięciu.**
**Za dziesięć lat — syn, albo wnuczek**
**posłucha wspomnień twych, jak baśni,**
**z surowych rąk i słów się ucząc**
**mądrych praw walki i przyjaźni**
**Za dziesięć lat, choć włos nam zsiwiał,**
**słów się nie wstydząc szorstkich, twardych —**
**powiemy: dla tych dni szczęśliwych**
**żyć warto było i umierać warto.**

Foto — WAF

MARCELINA GRABOWSKA

# WŚRÓD ROBOTNIKÓW

*JÓZEF G. jest wysoko kwalifikowanym robotnikiem. Od lat dobrze mu się powodziło. Utrzymywał przodownictwo, bo ciągnął go zarobek.*

*Znam go z dawnych czasów i odwiedzam, ilekroć znajdę się w Łodzi. Na przywitanie zagnał żonę do kuchni, aby jak zwykle okazała mi gościnność. Tłumaczył się, że nie spodziewali się, więc tylko tym, co pod ręką. Wódka, wędlina, ciasto. Zapytałam, jak mu się teraz powodzi.*

*— No rąbnęli! Co tu dużo gadać? Co tu dużo gadać — powtarzam jak echo, patrząc na zastawiony stół.*

*Tkaczka Janina B. podsuwa mi kontrolkę: sami obliczcie. Nie zastanawiała się dotąd nad tym, czy wedle nowej ustawy zarabia mniej, niż dawniej, wie tylko, że dostała dwa razy „zaliczkę". Ma pewnie na myśli wyrównanie. — Jeszcze się nie orientuję — mówi. Ale czuję, że mi teraz łatwiej wszystko dostać, kiedy chcę kupić.*

*Śmieje się jeszcze głośno, kiedy sąsiadka (wpadła na chwilę) już jej przymawia. — Jak ci zabraknie pieniędzy, to choćby sklep pod nos podsunięto, nic nie kupisz. Mądra!*

*Teraz Janina poważnieje. — Wszystko zależy od tego, jak będziemy pracować. Praca w porządku, to i płaca jak się należy.*

*Sąsiadka machinalnie odpowiada.— No, pewnie. — Ale wnet się cofa. — Maszyna ma tylko 180 obrotów i więcej nie wyrobisz. Wysilać można się tylko do pewnej granicy.*

*— A czy tę granicę na pewno dobrze znacie?*

*Sąsiadka odpowiada złośliwie. — Skądże? Ty wiesz wszystko lepiej, ty (z akcentem) świadoma.*

*Człowiek nie zna granicy swojej sprawności. Widać to na przykładzie Antoniego L. Ma już więcej, niż 60 lat i dotychczas jakoś trzymał się w pozliżu normy. Teraz wyrabia 106. Dlaczego? „Rozgniewali mnie młodsi. Jak się wzięli narzekać, to ja... co będę gadał, najlepiej pokazać. I pokazałem. Im na wstyd". — Zniża głos, jakby mi powierzał tajemnicę. — Jak człowieka coś ruszy, to mu się praca układa do ręki.*

*

*Od dwóch dni padają deszcze. Na dziedzińcu zebrała się porządna kałuża. Mija mnie kilku młodych. Są tak zajęci sobą, że nie zauważyli, jak ochlapują i mnie i siebie.*

*— Ja cię tylko ostrzegam. No, po prostu, żebyś potem nie miał pretensji. Żebyś wiedział z góry. Zbijemy.*

*— Nie sztuka zbić, kiedy tylu na jednego.*

*— Trzeba zbić, kiedy ten jeden przeszkadza.*

*Przeszli. Patrzę na moją przewodniczkę, sekretarza oddziału. Wyjaśnia: — To z zespołowego współzawodnictwa, pewnie bumelant. Już się z nim rozprawią.*

*— Czy tak można?*

*— Nie trzeba. Ale znają swojego, wiedzą, jak do niego trafić. Teraz wzięli się za bumelantów ostro.*

*— Chodzi o zarobki?*

*— O zarobki i nie o zarobki. Wielu ustawa zmobilizowała. Świadomi rozumieją, dlaczego była potrzebna.*

*— Rąbnijcie go po premii — zrozumie — doradzają mniej świadomi na zebraniu, kiedy mowa o niesumiennym majstrze.*

*

*Interesuje mnie, o ile ustawa spowodowała przechodzenie robotników na akord. Ale okazuje się, że przechodzenie zaczęło się wcześniej. Energiczniejsi widzieli korzyści tej formy pracy. W fabryce im. Dzierżyńskiego ponad 80% pracuje na akord.*

*Wszystkie te jednak sposoby: podniesienie wydajności, oszczędność czasu i mobilizacja kadr nie wyczerpują zagadnień, związanych z nową ustawą. Jej bezpośredni wpływ daje się odczuć również w napływie nowych sił do fabryk.*

*— Gdzieście dotąd pracowali?*

*— Nigdzie.*

*— A z czegoście żyli?*

*Milczenie.*

*Sprawa jasna. Żyli z handlu. Wysilali sprytu i nogi, aby tam kupić, tu sprzedać. Korzystali z tego, że zapracowany człowiek nie mógł wczas dotrzeć do źródła towarów. Teraz pośrednictwo przestało popłacać, trzeba iść z tymi, którzy pracują.*

*Jedni muszą się dopiero uczyć, inni dawniej pracowali w fabryce, teraz do niej wracają. Snuje się koło nich atmosfera nieufności i rozgoryczenia. Przejdzie jakiś czas, nim na dobre wejdą w gromadę.*

*— No dobrze, że dostali. Skończyło się łatwe życie. Korzystali z tego, że nam było ciężko.*

*— Czy tylko korzystali? Oni starali się o to, aby nam było ciężko.*

*Są i tacy, którzy pracowali i „kombinowali". Urywali się od pracy, aby „z koszykiem na wieś". Kłuje ich teraz ironia:*

*— No, czemu nie jedziecie? Tacy pilni się stali! Teraz na wsi produkty tańsze. I sprzedadzą z pocałowaniem ręki.*

*Nie mogą się odgryźć. Pozostaje im tylko włożyć w pracę wkład energii, którą kierowali w inną stronę. Kryją w milczeniu klęskę.*

*Przyoywają także ludzie z innych rzemieślniczych zawodów. W brygadzie remontowej pracuje były fryzjer i były piekarz. Partia poleca doświadczonym robotnikom kontrolę nad ich pracą i pomoc w razie potrzeby. Odtąd bowiem ci, którzy pracują na maszynie będą mieli głos decydujący o tym, czy ją uważać za wyremontowaną.*

*

*Do Rady przychodzą dwaj robotnicy, chcą się widzieć z przełożonym. Ma właśnie konferencję, ale wychodzi do nich, bo mówią, że sprawa pilna.*

*Chodzi o pomysł racjonalizatorski. Tłumaczą z przejęciem: oszczędność gumy i pracownik nie będzie musiał latać...*

*Przewodniczący przerywa: — To nie należy do mnie. Trzeba złożyć wniosek...*

*Teraz tamci przerywają: — Już złożyliśmy i dano nam rysownika. Ale chcemy dopilnować, aby wszystko odbyło się uczciwie. — Robotnicy wierzą Radzie bardziej, niż technicznemu biuru.*

*

*Co to wszystko znaczy?*

*Jeśli wziąć pod uwagę, kto cieszy się z uchwały rządu, a kto na nią narzeka, wyraźnie zarysuje się kierunek, w którym zmierza. Punkt ciężkości produkcji przesunął się ku dołowi. Tam teraz powiększyło się bezpośrednie zainteresowanie w produkcji i bezpośrednia za nią odpowiedzialność. To co się czuje na zebraniach, to przebija z wypowiedzi. Rozszerza się sieć kontrolna, mnożą się i tym samym zgęszczają oka sieci, przez które starała się przemknąć wroga działalność. I nie tylko wroga, ale także szkodliwa. — Nazwika, nazwiska — wzywa sekretarz partii na zebraniu. — Ani faktów, ani osób nie wolno ukrywać.*

*Nie mogą się już zresztą ukryć prześwietleni uchwałą.*

**Marcelina Grabowska**

JACEK TRZNADEL

# Broniewski – poeta ludowy (II*)

### III. O LIRYCE REFLEKSYJNEJ

TOM swój podzielił poeta na dwie części — tematykę pierwszej określają najogólniej rzecz biorąc omówione wyżej wiersze polityczne, w drugiej zawarte są raczej utwory dotyczące spraw osobistych, utwory, które można by określić mianem liryki refleksyjnej. I tutaj widzimy zmiany, jakie dokonały się na powojennym etapie rozwoju poezji Broniewskiego. We wstępie do tego artykułu charakteryzowałem niektóre problemy typowe dla zagadnienia liryki refleksyjnej Broniewskiego w dwudziestoleciu międzywojennym — ów charakterystyczny dla poety pesymizm, nutki dekadenckie, gest romantyczny, postawa indywidualistyczna.

Już przy pierwszej lekturze tomiku Broniewskiego uderzają nas istotne zmiany. Jeśli wyłączyć część utworów poświęconych smutnym doświadczeniom okupacyjnym (wiersze o zmarłej w Oświęcimiu żonie) — uderzających zresztą prawdą życiową, — zwraca uwagę jaśniejsze spojrzenie na świat, głębia życiowego doświadczenia, owa przysłowiowa kropla mądrości, prawda humanizmu w ujmowaniu ludzkiego życia. Typowym przykładem mógłby być np. wiersz „O przekwitaniu":

*Przekwita wszystko, przekwita,*
*i kwita.*

*Wyrasta wszystko, przerasta*
*i basta.*

*A ja i wyrosłem, i przerosłem,*
*doniosłem to, co niosłem —*
*myślicie, że kilka łez jak kamienie?*
*nie! — moje życie i moje sumienie*

Jest w wierszach Broniewskiego z tego cyklu dużo spokoju, radosnej tkliwości dla kwiatów i dzieci, niekiedy wracają wspomnienia młodości z perspektywy doświadczenia dojrzałego wieku. Ta liryka wyraża jednocześnie typowość doświadczenia mas przez realizm treści stanowiących przeżycie podmiotu lirycznego. Przez to wyraża w sposób jakby ukryty szerszą problematykę przemian w spojrzeniu na świat i życie, zerwanie z rozdźwiękiem między tonami wierszy refleksyjnych i politycznych, z indywidualizmem, pozą romantyczną. Ukazuje to poeta zresztą zupełnie bezpośrednio w wielu utworach wyrażających stosunek do własnej twórczości. Wiąże własną poezję z uczuciami mas (Dla kogo wiersze), dociera do zrozumienia, że istotną trwałość zapewnia poezji powiązanie z wielką społeczną treścią:

*I cóż się ze mną stanie,*
*kiedy te wiersze dopiszę?*
*Nic się nie stanie,*
*wrosnę w ciszę.*

*A muszę ją mieć,*
*musi grzmieć!*
*Niech grzmi paryskimi salwami,*
*towarzysze.*
*Będę z wami,*
*kiedy już nic nie napiszę.*
*(Mój los)*

Chociaż przyznać należy, że znów, jak to widzieliśmy w nurcie wierszy politycznych i w utworach o tej tematyce mamy bardzo często do czynienia z banalizowaniem miast głębokiej prawdy życiowej np. „Ciągle o Warszawie", z impresjami bliżej nieokreślonej treści (Słowik), nutkami dekadenckimi (Pod koniec maja, Baudelaire). I tutaj również spotykamy się z uproszczeniami artystycznymi — nie każdy bowiem szkic na parę wierszy, impresja, myśl — bez należytej kontroli ideowej i artystycznej powinny być umieszczane w zbiorze wierszy przez świetnego poetę. Wiele innych wierszy zaś może zyskać ocenę co najwyżej poprawności.

Ale znów — nie oceniajmy na miarę takich utworów. Najlepsze wiersze Broniewskiego mówią o mądrości i sile życia, o uczuciach zrozumiałych dla mas, dzielonych przez prostych ludzi, o sztuce tworzenia „książek otwartych dla przyszłości".

### IV. SPRAWY ARTYZMU — PRÓBA CHARAKTERYSTYKI

Siła i znaczenie poezji Broniewskiego nie polega tylko na wielkiej śmiałości politycznego spojrzenia, agitacyjnym charakterze jego utworów o tematyce politycznej, powszechności przeżyć podmiotu lirycznego w dużej części wierszy refleksyjnych. Decyduje o tym również i nowatorstwo artystyczne jego najlepszych utworów, przełamywanie utartych realizacji artystycznych, zasklepionych kanonów wiersza, zużytej frazeologii. W dużej mierze jest to w „Nadziei" kontynuacja przedwojennych osiągnięć poezji Broniewskiego. Trudno o jakąś pełną analizę tego nowatorstwa artystycznego poety. Postaram się zwrócić uwagę na kilka elementów mających duże znaczenie dla tego zagadnienia. Określiłbym go jako bliskość poezji dla mas, ludowy charakter poetyki czy stylu.

Związanie z żywą mową, z rytmem przemian językowych, z aktualnym stanem języka to jedna z tych nowatorskich cech. Widzimy to w słownictwie, w pewnych zwrotach gramatycznych, najbardziej może — w strukturze frazeologicznej. Do poezji wkraczają słowa, które w niej nie miały obywatelstwa, zwroty frazeologiczne, charakteryzujące w dużej mierze i ten żywy nurt frazeologii, jaki wnoszą masy ludowe do języka: „nie cackał się", „książek ledwo co liznął", „pokumał się", „stoję sobie i basta", „przekwita wszystko i kwita" — że rzucę parę przykładów. To związanie z nurtem żywej mowy ma zresztą cechy nie tylko natury słownikowej.

Druga sprawa bardzo wiążąca się z pierwszą — obrazowanie Broniewskiego. Co oznacza określenie — prosty, zrozumiały dla mas, a jednocześnie nowatorski? Broniewski w swoim sposobie obrazowania opiera się przede wszystkim na doświadczeniu mas ludowych, klasy robotniczej. Poeta nie transponuje, jak to często obserwujemy, pewnych potocznych pojęć, pewnych faktów historycznych operujących sprawdzalnymi, konkretnymi realiami na przesublimowany „język artystyczny", w tym znaczeniu tego słowa, które sugerowałoby pewne obciążenia — sztuczność pomysłu, lub nawet dopuszczalny realistyczny, lecz właśnie nieco t r a n s p o n o w a n y obraz artystyczny. Nie chodzi tu o negację tego typu stylu — a jedynie o próbę uchwycenia i charakterystyki indywidualnych cech artyzmu Broniewskiego. Ten ludowy typ poetyki czy stylu sprzyja szczególnie popularności utworów Broniewskiego wśród szerokich mas czytelników. Nie chcę przez to oczywiście powiedzieć, że Broniewski prymitywizuje, nie oznacza to zerwania z tradycją, do której często odwołuje się poeta wprost. Tak jest np. we wstępie do poematu o Świerczewskim, gdzie sparafrazował obraz mickiewiczowskiej „Ody do młodości" nadając symbolowi, nieskrystalizowanego jeszcze, ogólnikowo pojętego dążenia do postępu — rewolucyjną, społeczną treść. Retoryka Broniewskiego czerpie z najlepszych wzorów poezji romantycznej. Obrazowanie Broniewskiego może dlatego jest tak proste, operuje taką siłą uogólnienia, że opiera się również bardzo silnie na pełnym wykorzystaniu tradycji — czerpie z niej naukę i doświadczenia.

Nowatorstwo i prostota ujawnia się również w metryce wiersza Broniewskiego. Stara się on dostosować metrykę do żywego, naturalnego toku zdania. Wydłuża często lub skraca miarę wiersza. Pozwala sobie na zmianę rytmu, na nagłe załamanie kadencji (wyjątkowo częste i charakterystyczne dla wersyfikacji Broniewskiego zjawisko). Wiersz przejawia w ten sposób u niego wielką różnorodność. Przykładem niech będą choćby cytowane wyżej wiersze „Mój los", „O przekwitaniu" czy „Pokłon Rewolucji Październikowej". Większą regularność uzyskuje Broniewski — i słusznie — w poematach. Choć i tam zmienia się ciągle rytm, ale już nie w tych granicach. Mamy tutaj konieczne dla dłuższych form poczucie pewnego wspólnego charakteru rytmicznego. Zmiany służą uniknięciu monotonii, wydobyciu pewnych walorów treściowych. Weźmy jeden przykład: układ — amfibrach — trochej w pierwszych strofach VI części „Poematu o Stalinie" doskonale oddaje elegijny nastrój wiersza. W następnych strofach od bolesnych wspomnień wojny przechodzi poeta do zarysowania obrazu dokonującej się rewolucji. Przerzuca wtedy akcent strofy na rytm trochej — amfibrach uzyskując większy akcent retoryczny, odejście od nastroju elegii.

I znów — ta zmienność wersyfikacyjna, „falowanie" rytmu nie jest prymitywizacją, rozluźnianiem rygorów wiersza, lecz próbą rozszerzenia zasobu wersyfikacyjnego tradycji w oparciu o żywe, współczesne poczucie językowe, jest bardzo ludowym, nie narzucającym poczucia ekwilibrystyki, czy sztywnego kanonu wiązaniem wiersza. Niekiedy nie zdołał się poeta rzeczywiście uchronić od pewnego „rozwichrzenia" rytmicznego, wersyfikacyjnego — nie narusza to jednak istotnych jego osiągnięć.

Dość rzadko pisze się o pomysłowości Broniewskiego w zakresie rymowania (zwracano na to uwagę już w dwudziestoleciu — np. Czachowski). Z jednej strony wyraża się to w wiązaniu słów nie wytartych ustawicznym tradycyjnym rzucaniem na koniec kadencji, wiązaniu słów nie rymowanych w naszej tradycji (dotyczy to nie tylko neologizmów). Oczywiście minęły czasy, kiedy rym: metafor — semafor, czy polot — samolot było wykorzystywane jako atrakcja, niemniej i dziś świadczy to o świeżości i pomysłowości. Dotyczy to również korzystania z asonansu, wyjątkowo u Broniewskiego celnego i pomysłowego, a jednocześnie trafiającego w nasze poczucie rymu. Dla przykładowej charakterystyki weźmy np. wstęp do „Słowa o Stalinie" cytowany wyżej przeze mnie. Sześciowiersz zawiera trzy pary rymów w następującym układzie: abcabc. Para a-a zawiera pomysłowy asonans: gasł — haseł (prawie zupełny rym męski), para b-b jest również asonansowa, jednak już bardziej oddalona: latarnia — proletariat. Jeśli zważymy, że użyte zostały asonanse, że rymowany jest pierwszy wiersz z czwartym, drugi z piątym i trzeci z szóstym — strofa rozluźnia się nieco pod tym względem, co daje nowe efekty artystyczne, uniemożliwia narzucenie „klepanki" rymowej. Jednocześnie jednak, by nie rozluźnić za bardzo strofy, nie osłabić jej spoistości daje Broniewski jeden rym pełny (osad — z posad). Zamyka on strofę (rym c-c) i ostatnią kadencję, zamyka jednocześnie najważniejsze treściowo zdanie i pada na ważne słowo z „z posad". Oto drobny przykład z mechaniki artyzmu. Myślę, że w najogólniejszym zarysie Broniewski potwierdza w swojej poezji zasadę, którą słusznie sformułował Ważyk w swojej książce o wersyfikacji Mickiewicza — „rymu klasycznego, asonansu plebejskiego i rymu Krasickiego" jako pewnej formuły tradycji wersyfikacyjnej i podstawy wyjściowej do nowych twórczych poszukiwań w zakresie rymu.

Wartości artystyczne poezji Broniewskiego obok siły ideowej jego utworów są jednym z czynników jej trwałości. Najlepsze utwory zamieszczone w „Nadziei" przeżyły daty swego powstania — stały się żywymi składnikami naszej tradycji literatury realizmu socjalistycznego nie w wywodach „uczonych" krytyków, lecz w świetlicy robotniczej i w gminnej bibliotece.

**Jacek Trznadel**

* Pierwsza część artykułu ukazała się w poprzednim 5 n-rze „Wsi".

MIECZYSŁAW INGLOT

# Wśród pisarzy słowackich

*Do szczupłej biblioteczki pozycji słowackich, przetłumaczonych na język polski, dodały nasze wydawnictwa ostatnio dwie nowe. „NIEORANE POLE" P. JILEMNICKIEGO oraz „POKOLENIE" P. KARVASA.*

*Mamy bardzo niewiele utworów słowackich przetłumaczonych na język polski; szczególnie, jeżeli zestawimy je z ilością tłumaczeń z języka czeskiego. Obok utworów Jilemnickiego, zanotować tu trzeba powieść JÓZEFA HORAKA pt. „LASY MILCZĄ". Horak stawia sobie ambitne zadanie ukazania epopei słowackiego powstania i słowacko - radzieckiego sojuszu, ale na skutek ekspresjonistycznych nalotów w metodzie pisarskiej częściowo zaprzepaszcza możliwości tematu. Zupełnie inną problematykę przekazuje nam powieść FRANCISZKA KRALA „ZAKRĘT POD RACHOWEM". Kreśli ona obraz rozwoju świadomości inteligenta, nauczyciela wiejskiego, na tle walki, jaka toczy wieś słowacka z kliką miejscowych wyzyskiwaczy sprzymierzonych z biurokracją i klerem.*

*Z licznych utworów Piotra Jilemnickiego, dwa zostały już dawniej przetłumaczone na język polski. Są to powieści: „KAWAŁEK CUKRU" i „KRONIKA". Rola Jilemnickiego (1901 — 1949) pod względem zasług, jakie położył dla rozwoju literatury słowackiej w kierunku realizmu socjalistycznego może być porównana z wkładem Gorkiego do literatury radzieckiej. Z pochodzenia Czech, syn kolejarza, zostaje w roku 1923 nauczycielem we wsi słowackiej. Tam poznał i pokochał swą drugą ojczyznę. Jej poświęca swe pióro. Pisze dużo, zdobywając uznanie czytelników, a przynależność do partii komunistycznej oraz podróż do ZSRR w latach 1926 — 1928 przyczyniają się do rozwoju jego świadomości i talentu. Z wcześniejszych lat jego twórczości na uwagę zasługuje zbiór reportaży: „Dwa lata w Kraju Rad" i powieści o Słowakach w ZSRR: „Grzmiący krok" oraz „Kompas nosimy w sobie".*

*„Kawałek cukru" przedstawia walkę robotników rolnych i drobnych plantatorów z obszarniczymi i przemysłowymi potentatami produkcji buraków cukrowych. Autor obrazuje tragiczny bezsens życia wyzyskiwanych, którzy poświęcając je w całości dla produkcji „kawałków cukru" nie mogą ich często kupić dla swoich dzieci. Powieść, dzięki typowości wybranych konfliktów, daje pełny obraz życia rolniczej części kraju w okresie kryzysu dwudziestolecia. „Kronika" to zamknięta w artystycznej formie gawędy leśniczego opowieść o dziejach słowackiego powstania. Mimo pewnych niedociągnięć, polegających na niedocenieniu wewnętrznej walki klasowej w obozie słowackim podczas powstania 1), Jilemnickiemu udało się stworzyć piękny i literacko wartościowy opis wypadków.*

*Przetłumaczone ostatnio „Nieorane pole" należy do najbardziej dojrzałych ogniw krystalizującego się w pisarstwie Piotra Jilemnickiego realizmu socjalistycznego. O ile poprzednie utwory okresu przedwojennego, a szczególnie „Zwycięski upadek", przeciążone były jeszcze pozostałościami ekspresjonizmu i naturalizmu, o ile akcja „Kawałka cukru" rozbita została na kilka luźnych wątków i roztopiona w niezbyt istotnych szczegółach, o tyle tutaj doskonale nakreślona centralna postać pozytywnego bohatera staje się tak dowodem dojrzałości ideowej pisarza, jak najistotniejszym elementem spajającym wstrząsające swą prawdą obrazy życia.*

*„Nieorane pole" ukazało się w roku 1932. Nie ma ono pretensji do jakiejś większej syntezy czasowej, obejmując kilka lat wokół kryzysu 1929 roku. Zasadniczym jej zadaniem ideowym jest ukazanie sojuszu robotniczo - chłopskiego, jako podstawowego warunku zwycięstwa rewolucji socjalistycznej.*

*Biedna wioska słowacka w początkach dwudziestolecia. Panują w niej kułacy z bogatym spekulantem Magatem na czele, związani z wójtem — przedstawicielem klasowej administracji oraz z plebanią. Jilemnicki słusznie notuje, że konflikt wieś — dwór, mimo, że nie stracił na aktualności, ustępuje teraz walce klasowej wewnątrz wsi. Dwór zastępują z powodzeniem inne instytucje ucisku, jak banki, ciągnące lichwiarskie procenty, czy przekupna administracja i sądy.*

*Jak funkcjonuje ta trójka — wójt, Magat i ksiądz? Rolę, wodzi w niej lichwiarz Magat, obliczany na przeszło pół miliona koron. Jasno ukazana jest geneza jego bogactwa. Dorobił się na spekulacji wojennej, potem ulokował kapitały w handlu drzewem, skupując od chłopów lasy za bezcen, wreszcie w okresie prosperity założył karczmę, zmuszając swych dłużników, aby pili tylko u niego. Z nimi, wyzyskiwaczami miejscowymi, trzyma wyżej zorganizowana szajka oszustów. To przede wszystkim banki, których upadłość grzebie resztki oszczędności biedniaków. To pajęcza siatka adwokatów, tucząca się na biedniackich procesach. Obok nich garska liberalnych i „umiarkowanie postępowych" inteligentów mieszczańskich, którzy biorąc skutki za przyczyny, chcą drogą zwalczania alkoholizmu zapobiec nędzy. Ale istniejące stronnictwa polityczne, mimo swych „postępowych" i „humanitarnych" programów, siedzą w kieszeni karczmarzy i na ich zlecenie prowadzą swą politykę.*

*Z drugiej strony grupa biedaków. Dla nich zamknięta jest prawna droga do sprawiedliwości. Zdają sobie sprawę, że w tej sytuacji zasady moralności i sprawiedliwości dyktuje pełna kieszeń. Drogi wyjścia z błędnego koła zwiększających się podatków i kurczących się poletek zamykają się jedna po drugiej. Emigracja nie rozwiązuje już zagadnienia. Kryzys powoduje upadek banków. Banki chcąc się ratować, ściągają drogą masowych licytacji udzielone niegdyś chłopom pożyczki. Jednocześnie na wsi znikają wszystkie, pozarolnicze źródła dochodu. W miastach bezrobocie. I tak wieś dojrzewa do buntu. Na jej czele staje garstka biedniaków z Pawłem Huszczavą na czele.*

*Syn wiejskiego biedniaka, robotnik hut Witkowickich, Paweł powoli przełamuje swą niechęć do miasta i nieufność do towarzyszy pracy. Dzięki nim styka się z ideologią klasy robotniczej. Robotnicze strajki uczą go czynnej walki. Widzi, że socjalizm jest jedyną drogą wyjścia z błędnego koła kryzysów i nędzy. Paweł daje swej wsi konkretny program, jest pozytywnym bohaterem powieści. Ale nie tylko dlatego spełnia on swą rolę. Paweł jest dlatego pozytywnym bohaterem, że ideę, o którą walczy, głęboko przeżył i przemyślał. Historia rozwoju jego świadomości rewolucyjnej staje się interesującym odbiciem typowego procesu przechodzenia proletariusza wiejskiego w walczące szeregi klasy robotniczej. Paweł dlatego jest pozytywnym bohaterem, że ukazany został w ścisłym związku z walczącą gromadę. Jest kierownikiem i zarazem uczniem mas. Góruje nad ludźmi swoją świadomością nabytą w witkowickich zakładach, ale umie wyczuć sytuację swej wsi i umiejętnie zastosować wskazania teoretyczne. Paweł jest pozytywnym bohaterem, bo idea, o którą walczy, wypływa z jego życia i staje się nie martwym dodatkiem, ale uogólnieniem własnych doświadczeń i przeżyć. Daje mu to głęboką wiarę w zwycięstwo. „GDYBYM NIE BYŁ KOMUNISTĄ, TO BYM SIĘ TEŻ POWIESIŁ", mówi nam nad zwłokami swego ojca, który popełnił samobójstwo po próbie licytacji jego gospodarstwa.*

*Postać Pawła to pięknie spiżowy posąg bohatera. Ma on normalne, ludzkie wątpliwości co do celów walki. Zapytuje siebie np. po co siedzi w więzieniu? Przecież mógłby żyć wcale dobrze kosztem innych. Ale na drodze walki pchnęło go poczucie niesprawiedliwości świata, w którym żył, zrozumienie historycznej konieczności zwycięstwa nowego. Powieść, której jednym niedociągnięciem jest przerost komentarza odautorskiego, kończy się potężną demonstracją zbuntowanej wsi słowackiej. Mocnym akcentem wizji świtu nad polami zamyka się utwór Jilemnickiego.*

*

*Książka Karvasa jest pierwszą częścią trylogii. Ponieważ wstęp, będący zarazem zamknięciem, przypada na rok 1945, a omawiana przez nas część na lata 1918 — 1936, można założyć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że druga część obejmie lata 1936 — 1939, trzecia zaś 1939 — 1945.*

*Rozdział pierwszy powieści pt. „Idylla" styka nas od razu z poszczególnymi bohaterami. Ich pokaźną ilość usprawiedliwia kompozycja utworu, który ma być zaczątkiem olbrzymiej całości. Autor buduje potężne fundamenty. A więc bohaterowie są w powieści dopiero dziećmi i pochodzą z najrozmaitszych środowisk. Mamy więc przedstawicieli drobnych kupców, urzędników, robotników, biednych i bogatych chłopów, wreszcie wielkich potentatów — przedstawicieli rodzącego się kapitału słowackiego. Powieść należy do literackiego rodzaju socjalistycznych „monografii społecznych".*

*Znamy wiele „monografii społecznych" w literaturze ostatnich dziesięcioleci. Obrachunki dokonywane z pozycji mieszczańskich dają w rezultacie rodzinne epopeje w rodzaju „Budenbrooków" Tomasza Manna, „Rodziny Thibault" R. Martin du Gard'a, „Sagi rodu Forsytów" Johna Galsworthy'ego czy „Rodziny Whiteoaków" Mazo de la Roche. Są to testamenty spisywane przy łożu umierającego; stanowią, jak to określa prof. Wyka 2), „kamień grobowy kładziony na ciepłe jeszcze zwłoki". Obejmują one wąski zakres jednej rodziny, rozrastają się jedynie w czasie. Ich wartość leży w tym, że stają się, jednostronnymi zresztą, historycznym dokumentem epoki, ostatnim echem realizmu krytycznego.*

*Zadanie „monograficznego" ukazania walki klasy robotniczej aż do zwycięstwa socjalizmu, jako ustroju społecznego, podejmują obecnie pisarze krajów demokracji ludowej. W socjalistycznych „monografiach społecznych" miejsce rodzin zajmują walczące ze sobą klasy. Początek daje tutaj Maksym Gorki „Życiem Klima Sangina", gdy ukazuje zbankrutowanemu przedstawicielowi burżuazji, że świat nie ginie wraz z nim, że dziejami pokierują inni, godniejsi od niego. Powieść Karvasa wyrasta z tej tradycji realizmu socjalistycznego. Karvas zna doskonale typowe rozwarstwienia klasowe.. W TYM JEST ZASŁUGA I DOJRZAŁOŚĆ POWIEŚCI, ALE JEDNOCZEŚNIE AUTOR NIE ZAWSZE UMIE SIĘ WYDOBYĆ Z ZAKLĘTEGO KOŁA WULGARNEGO SOCJOLOGIZMU. Myśli ludzkie w ujęciu Karvasa są niewolniczym wykładnikiem wyabstrahowanego schematu ideologii danej klasy społecznej. Tak samo układają się ludzkie losy. Bohaterowie nie mają swej woli, to zdeterminowane mechanizmy, i nawet wpływy innej klasy nie potrafią ich wyrwać z zamkniętego kręgu „przeznaczenia". Socjologizm przesłania autorowi właściwą interpretację rzeczywistości, nie pozwala na pełną indywidualizację postaci.*

*W powieści ciekawie została zarysowana sytuacji klasowa Słowacji, chociaż niekiedy brakuje nam tu realizmu szczegółów. Z jednej strony mamy pozorną idyllę mieszczańskiego życia. Bogacą się fabrykanci zapałek, adwokaci, lekarze. Rozbudowuje się willowe miasto bogaczy. Wchodząca w skład Czechosłowacji, Słowacja burżuazji i bogatych chłopów, robi majątki na przemyśle drzewnym. Wzrasta we wpływy faszystowska partia księdza Hlinki, która doprowadzi w roku 1939 do dyktatury Tiso i rozbioru republiki do spółki z Hitlerem. Ale na razie nic nie psuje idylli mieszczańskiego życia. Ze tam gdzieś płonie Reichstag, że Hitler zajął Nadrenię to nie „u nas". A „u nas" tymczasem przygotowuje się to samo. Dyrektor fabryki zapałek paktuje z faszystami. Filip Scarratti, szpicel robotników w wytwórni piwa, marzy o odwecie za pogardę, jaką otaczają go ludzie. I on chce coś zaczęć, rozkazywać i rozstrzeliwać. Mieszczanie, broniąc swego stanu posiadania, willi i aut, możliwości zysku i wyzysku, stają po stronie Hitlera, podpalaczy Reichstagu, późniejszych zbirów — kierowników obozów koncentracyjnych.*

*Niestety, poszczególnym bohaterom-komunistom nie pozwolił się autor rozrość; jest ich bardzo dużo, ale pojawiają się na bardzo krótko. Są wśród nich robotnicy, są postępowi inteligenci. Górują oni bezsprzecznie nad wszystkimi swoim zrozumieniem rzeczywistości i głęboką wolą pokoju. Dla nich świat nie kończy się w granicach miasta czy republiki. Pożar Reichstagu rozpala ich serca niepokojem o losy Komunistycznej Partii Niemiec, dotkniętej ta prowokacją, proces lipski napawa ich troską, dumą i buntem. Widzą, co niesie faszyzm. Ruch robotniczy u Karvasa pokazany został jednak zbyt „lokalnie", za mało aktywnie w swoich poczynaniach, mimo niewątpliwie szerokich horyzontów politycznych. Sądzę, że nakreślenie powiązań z międzynarodowym ruchem robotniczym, a zwłaszcza radzieckim, dałoby pogłębienie tych horyzontów i pozwoliłoby na pełne zobrazowanie twórczej przeciwwagi w stosunku do gnijącego od wewnątrz, rozkładanego przez faszyzm świata mieszczańskiego.*

*Zdajemy sobie sprawę z tego, że „Pokolenie" jest pierwszą częścią trylogii; że jest ekspozycją powieści. Autor niewątpliwie nagromadził tutaj dużo materiału, nie zdążywszy go jeszcze w pełni opracować. Brak obróbki literackiej powoduje właśnie nasze zarzuty. Z tym wszystkim powieść posiada spore walory poznawcze.*

*Mamy nadzieję, że wyżej omówione pozycje słowackie stanowią jedynie prolog dalszej pracy przekładowej. Oprócz nieprzetłumaczonych jeszcze licznych utworów Jilemnickiego, czeka na dobre polskie pióro współczesna poezja słowacka. Tu znacznie wyprzedzili nas Słowacy, wydając już w roku 1949 antologię współczesnej poezji polskiej pt. „Polské verse". A mamy wśród współczesnych poetów Słowaków wielu naszych przyjaciół. Nazwiska Pavola Buncaka, Miry Procházka, Jana Kostry czy Vojtiecha Mihalika powinny być szerzej znane polskiemu czytelnikowi. W ten sposób zacieśnimy jeszcze mocniej więzy przyjaźni, łączącej nas z zakarpackim narodem.*

**Mieczysław Inglot**

1) por. J. Skórnicki, „Powieści P. Jilemnickiego", Wieś, 1951, nr 39.
2) K. Wyka, „Zarys współczesnej literatury polskiej", str. 226.

# HISTORIA 140.000 ZŁOTYCH

(dokończenie ze str. 1)

okrągły piec z wysokim kominem i obszerna szopa. Usunięcie pewnych drobnych usterek w konstrukcji pieca, wysmołowanie szopy i tak dalej — to było nieodzowne i ciągnęło się jeszcze przez dalsze trzy dni.

W jakiś czas później w okolicy gruchnęła niespodziewana wieść: „Spółdzielcy z Białej Rawskiej skombinowali własnym przemysłem cegielnię". Jaka produkcja? — pytano. — Podobno 125 tysięcy cegieł w sezonie. A co z tej cegły będą budować? Oborę na 80 krów.

Na widownię więc wchodzi oborowy Szkopiński. Jego projekt rozwinięcia hodowli bydła i trzody chlewnej, przedstawiony w obszernym memoriale, był uzależniony głównie od nowego budynku. Dotychczasowe pomieszczenia nie wystarczały. Zapamiętajmy cyfry wyjściowe: 18 krów i 40 prosiąt. Niewiele tego. Czy cegielnia nadąży produkować cegły i czy tamci na budowie nie zahamują gdzieś roboty, aby móc podnieść liczbę inwentarza żywego dwukrotnie?

Kłopoty Szkopińskiego były bardzo istotne, gdyż spółdzielni, zaangażowanej w tak poważne przedsięwzięcie groził brak rąk do pracy. A w grę wchodził jeszcze przecież projekt Redlickiego, który również wymagał wielu ludzi. A tu siewy wiosenne na dniach, roboty przybywa z każdą niemal godziną. Redlicki bierze się na inny sposób: kusi sumą 60 tys. zł. Ten sposób okazał się bardziej skuteczny. Szturmowa brygada samych młodziaków bierze na ramię łopaty i kilofy i biegnie budować półtorakilometrową tamę od rzeczki Białki — po zakisłe bajora, wypełniające półkolistą nieckę opodal pastwisk. Wkrótce też nadejdzie szczęśliwy dzień Redlickiego. Lecz przed tym jeszcze, zanim woda z Białki wypełni nieckę po brzegi i zasrebrzą się w niej pierwsze kroczki karpia — do głosu dochodzą Gontarek i Chmielewski.

Przesiadują teraz po całych dniach w zainstalowanej przez siebie kuźni i warsztacie kołodziejskim. Tutaj buduje się 4 ogumione wozy, uruchamia nieczynny dotąd kierat, sieczkarnię motorową i 2 sortowniki oraz kilkanaście innych maszyn i wiele narzędzi rolniczych.

Panowie Rybacki i Miśkiewicz — miejscowi przedsiębiorcy od kucia koni, obstalunków na koła do furmanek chłopskich i kalkulowania słonych cen, ze wszelkimi oznakami niedomagania cielesnego położyli się do łóżek z cegłą do grzania brzucha i rumiankiem. Cóż im się to przytrafiło, niebogom? Po prostu Gontarek podkuł okolicznym chłopom ze 60 koni i naprawił ze 20 lemieszy, zaś Chmielewski dorobił do wozów i furmanek 40 nowych kół. Ot, taka konkurencja, psiakrew! Nie tylko ten fakt, obaj mistrzowie wzięli pod rozwagę. W ich warsztatach mówiło się przecież o „całkowitej klapie spółdzielni z powodu zadłużeń". Tak to przy kuciu koni podkuwano ludzi...

I naraz grom z jasnego nieba. W spółdzielczej kuźni kują konie chłopskie — a przy okazji wykuto nowych członków. Najpierw Banik i Góralczyk, po tym ośmiu innych. Zaprowadził ich na tamę zdobywczy Redliński. Usypali ją w ciągu tygodnia.

*

— A więc na wielką skalę obniżka kosztów własnych — pomyślałem po przejrzeniu wszystkich pomysłów. Pozostało teraz tylko podliczyć sumy, zrównoważyć bilans, podziękować za wyjaśnienia. Zwróciłem się do Wasilewskiego:

— Obora gotowa?

— Gotowa. Zaraz was tam zaprowadzę...

— Oszczędności?

— 87.500 zł.

— Rozwinęliście hodowlę?

— Tak jest. Mamy teraz 49 sztuk bydła i 105 sztuk trzody chlewnej, w czym 10 rasowych macior.

— Jaką kwotę uzyskaliście z powiększonej w ten sposób hodowli?

— 126 tys. zł. Ogółem wyprodukowaliśmy 63 tys. litrów mleka, z czego 36 tys. litrów dostarczyliśmy państwu, podczas gdy obowiązek dostawy wynosił 8 tys. Sprzedaliśmy na spędzie 30 bekonów i 50 rasowych prosiąt po maciorach, które w jednym miocie dają nam po 16 i 18 zdrowych sztuk.

Dalsze moje pytania dotyczyły oszczędności poczynionych przez kuźnię i warsztat kołodziejski. Tutaj wygospodarowano planowo przewidzianą sumę. Natomiast hodowla karpia przysporzyła spółdzielcom 2 tys. zł. więcej.

Wywiad był właściwie już zakończony. Lecz zaraz... o co ja to chciałem jeszcze zapytać? Acha...

— Towarzyszu Wasilewski, powiedzcie mi na koniec, jakiego rodzaju oszczędność w kwocie *120 zł* wniósł pomysł Ostrowskiego?

Siedzący na ławie pod ścianą poruszyli się niespokojnie, Mazgalski nerwowo podrzucał klucze do sufitu, Wasilewski zaciął się. Ponowiłem pytanie. Wasilewski odzyskał głos. Okazało się, że kwota 120 zł była omyłkowo zaliczona do oszczędności. Chodziło po prostu o kupno dwóch rolek papy. Tyle właśnie kosztują dwie rolki.

— A na co Ostrowskiemu była potrzebna papa?

— Chciał zbudować sposobem gospodarczym silos.

— Dwa silosy — poprawił ktoś z ławy.

— No i co?

— Ano nic!

— Jakto nic?

— Zapomnieliśmy o papie...

— Zapomnieliście o bazie paszowej na zimę?

— Kupimy śrutę i makuchy...

— Ile to wyniesie?

— Ze 12 tysięcy złotych.

— Tyle mogliście zaoszczędzić...

A więc w samej rzeczy owe 120 zł pozostały niestety wartością niewymienną — jakimś tam bardzo kosztownym symbolem. A może nauczką na przyszłość?

**Wojciech Drygas**

WAWRZYNIEC OSINA

# SZYLD I PRAWDA

*(O przedwojennej Czechosłowacji, Stronnictwie Agrarnym i agraryźmie u nas)*

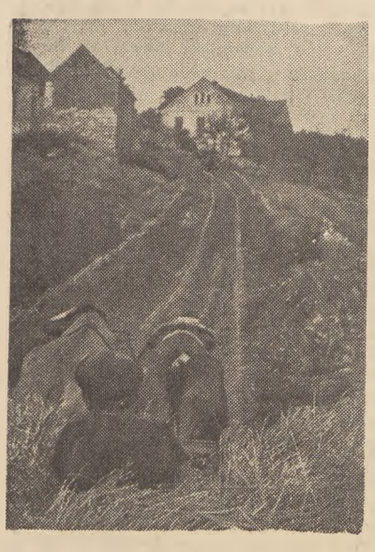

*PISAŁ Juliusz Fuczik:*

*„Było to na pierwszym posiedzeniu senatu republiki po przelewie krwi w Koszutach (1931 r.). Stałem w loży dziennikarzy i patrzyłem w dół, na nieomal zupełnie puste ławy agrariuszy, socjal-demokratów i narodowych socjalistów.*

*— W Koszutach padło czterech zabitych — mówi z trybuny komunistyczny senator Mikuliczek. — Są to znowu czterej zabici po czterech z Duchcowa...*

*Mówi z goryczą i drży z przejęcia.*

*A senat? Odpowiada.*

*Z nieomal pustych ław podnosi się z trudem jakaś góra mięsa:*

*— Hej, a wy znów macie materiał do demagogii!*

*I śmieje się!*

*Śmieje się, gdy komunistyczny senator mówi o czterech zastrzelonych robotnikach. Śmieje się, a jego koledzy śmieją się wraz nim. Wtedy, kiedy senator Mikuliczek wnosi skargę za spowodowanie śmierci czterech robotników.*

*Senat się śmieje!*

*W tym właśnie momencie zapragnąłem mieć aparat filmowy i uchwycić tę scenę, uchwycić wzruszone słowa i ten śmiech nieomal pustych ław, utrwalić na taśmie filmowej senat Republiki Czechosłowackiej.*

*Może już nigdy nie potrzebowałbym brać pióra do ręki, żeby wyjaśniać, co to jest nasza „demokracja"...*

Kilkudziesięciu posłów i senatorów wszechwładnego Stronnictwa Agrarnego broniło w parlamencie spraw 60 towarzystw akcyjnych. Bastionowi siły agrariuszy — Bankowi Spółdzielni Spożywców i Bankowi Rolnemu — podlegało 73 procent wszystkich karteli w państwie...

Ten układ wymaga szczegółowego odcyfrowania — jak w równaniu algebraicznym — trzech niewiadomych, sprzężonych zdumiewająco w jedną całość. Bo oto: Stronnictwo Agrarne (1) — Bank Spółdzielni Spożywców i Bank Rolny (2) obejmujące spółdzielczość rolną i spożywczą — i 73 proc karteli oraz 60 towarzystw akcyjnych (3) — tworzą razem polityczno-ekonomiczną jedność i tożsamość.

Sięgnijmy do rodowodu ekonomicznego. Banki Spółdzielni Spożywców i Bank Rolny rosły kiedyś na rozwoju spółdzielczości rolnej, kas oszczędnościowych i spółdzielczości kramikarskiej. Ale kiedy jeszcze w r. 1910 Bank Rolny w Pradze i Brnie wypożyczał chłopom z kas Reiffeisena i „Kampeliczek" 94 proc. kapitału tych kas (stających się filiami B R.) — w r. 1925 wypożyczał już tylko 44 proc., reszta szła na inwestycje kartelów i monopoli na operacje finansjery.

Od góry zatem między Bankiem Rolnym i Bankiem Spółdzielni Spożywców a kartelami i monopolami nastąpiło zlanie się przy dominującej już w tym okresie roli finansjery. Banki określały działalność gałęzi przemysłu, kierowały monopolami i kartelami.

Szyld całego tego interesu, który trząsł ekonomiką Czechosłowacji był bardzo osobliwy, bo *agrarny*, co więcej w rodowodzie swym jakoś „spółdzielczy" i jakoś „chłopski".

Pod takim szyldem działał najbardziej skoncentrowany kapitał. Oto agrarny koncern w latach międzywojennych zdołał objąć 20 towarzystw przemysłu cukrowniczego, *22 kopalnie*, 4 hurtownie handlu węglem, 7 *tow. akcyjnych przemysłu stalowego* i kilka przemysłu tekstylnego. Wspólnie z Bankiem Spółdzielni Spożywców uczestniczył Bank Rolny w przemyśle gorzelniczym i *w zakładach zbrojeniowych Skody*. Morawski Bank Rolny opanował *6 wielkich fabryk ciężkiego* przemysłu, cały szereg cukrowni, gorzelni, papierni itd. Tenże agrarny kapitał maczał palce przed r. 1938 *w akcjach przemysłu zbrojeniowego i elektrycznego w Niemczech.*

Już to zestawienie ukazuje nie tylko panującą rolę w przemyśle i bankach tego bloku kapitału, ale również pozycję zdrajców w stosunku do własnego narodu i państwa.

Ten panujący blok kapitału trzymał w ręku uzbrojenie i obronność kraju, a równocześnie uczestniczył w rozwoju przemysłu zbrojeniowego Niemiec, skąd od lat zbierało się na burzę.

Od strony politycznej ten blok kapitału miał reprezentację w Stronnictwie Agrarnym. A *„w Str. Agrarnym* — jak szydził jeden z posłów w parlamencie czechosłowackim w r. 1937 — *siedzą dzisiaj poza jednym czy dwoma sami baronowie cukru, bankierzy, baronowie gorzelnictwa, uzbrojenia i ziemianie".*

Ten zatem kapitał bankowy i kartelowo-monopolistyczny, kapitał ucisku i wyzysku klasy robotniczej, chłopstwa małorolnego i drobnych przedsiębiorców, ten kapitał zdrady interesów narodowych łudził politycznie w niemałym stopniu właśnie chłopstwo, mamiąc je szyldem i rzekomą tradycją „rolniczo-chłopską".

*

Teoryjki agrarystyczne, jak wiadomo, z zapałem szerzono przed wojną w naszym ruchu ludowym. Zyskały one mecenasów wśród części ekonomistów. Powstał wszak „naukowy" organ *„Wieś i Państwo"*, skupiający powagi profesorskie, przyjaciół wsi i Stronnictwa Ludowego, nawiasem mówiąc — w niemałej części dawnych synów chłopskich (Bujak, Styś, Inglot, Pigoń itd.). Pod sztandarem „agraryzmu" żeglował odłam kierownictwa WICI z Miłkowskim na czele. Dojrzewał on „teoretycznie" w *„Młodej Myśli Ludowej"*. W latach 35-9 zmajoryzował WICI i stał się „doradcą" władz Stronnictwa Ludowego. Przebywający po 31 r. na Morawach Witos słał listy, w których wyrażał zachwyt dla czeskiej wsi, dla jej agrarystycznej drogi.

„Patrz na Czechosłowację" — stało się hasłem, głęboko nieraz wnikającym na głuchą wieś polską, gdzie dusiło się 8 milionów bezrobotnych, skąd młodzież w ostatnim dziesięcioleciu przedwojennym nie docierała nawet do powiatowego miasta, i nie znała wcale fabryk, przemysłu, klasy robotniczej.

Gdzieś pod Ostrowią Mazowiecką na konkurs „Młodego Pokolenia Chłopów" napisał wypowiedź syn 24-morgowca, w powiecie, gdzie było 80 proc. chłopów 1—3-morgowych, gdzie „osiem razy w roku może ksiądz w duszę jego wglądnąć, urabiać i przekonywać", gdzie panujące w okolicy domy parafialne radia nie zakładały, bo członkowie „nic by nie robili tylko słuchali, a życie organizacyjne wkroczyłoby na inne, *„niewłaściwe* tory" gdzie „księża boją się, aby niewiasty nie były zorganizowane". Z takiej to okolicy pisał młody kułak wypowiedź, w której snuł projekt naśladowania Czechosłowacji, jej wsi i jej agrarnej organizacji.

Chciał bowiem, aby na wzór czeski „rolnik odznaczał się przedsiębiorczością i rzutkością *przemysłowca*, a rachunek i kalkulację wziął od *handlowca*... W krajach, jak np. Czechosłowacja, gdzie rolnictwo jest *dobrze zorganizowane*, rolnicy poznali *wymagania rynków zagranicznych* i przez to *opanowali te rynki*".

Pragnął rozwoju Kółek Rolniczych, które by były „jakby *sejm lub senat gromadzki*, w którym *elita gospodarzy* miejscowych zastanawia się i obmyśla środki podniesienia swojej wsi i najbliższej okolicy".

Oto echo, które dobiegało z ruchu ludowego i propagandy profesorskich i młodzieżowych „teoretyków" agraryzmu na głęboką i zacofaną wieś.

Trzeba przyznać, że hasło: „patrz na Czechosłowację" synek kułacki trafnie rozszyfrował i dlatego tak skwapliwie przejął: wkroczyć na drogę przedsiębiorczości i rzutkości *przemysłowca*, kalkulacji *handlowca*, zorganizować się w *blok ziemiańsko-przemysłowo-kułacki*. W tym bloku wyjść na „rynki zagraniczne" dla klasowego interesu, a na wsi stanowić *elitę* organizującą politykę i ekonomię okolicy.

Była to istotnie droga zrostu kułaków czeskich z obszarnikami, przemysłowcami i finansistami w Agrarnym Stronnictwie Czechosłowacji.

*

Zajrzyjmy do *„Wsi i Państwa"* z lat 38 i 39, organu powag profesorskich. Co tu uderza? Po pierwsze — przykład Czechosłowacji wzmacniały artykuły o agrarystycznych ruchach w Szwajcarii (pisał sam prof. Laur) i Danii. Po drugie — wokół Czechosłowacji skupiła redakcja obok wypowiedzi własnych powag, również artykuły przedstawicieli czeskich z Hodżą na czele, naszych politykujących księży i działaczy politycznych (listy Witosa).

W lutym 1939 r ogłasza ks. Panaś znamienny, ni to artykuł ni to memoriał pt. *„Czechosłowacka spółka zbożowa jako wzór dla wprowadzenia opłacalności produkcji rolniczej w Polsce"*. Trzeba sobie uświadomić czas wybrany dla publikacji: luty 1939 r — To znaczy niemal pół roku po Monachium, do którego doprowadziły agrarystyczne rządy pierwszej Republiki Czechosłowackiej, a na niecały miesiąc przed ostateczną okupacją resztek kraju przez wojska hitlerowskie.

„Czechosłowacka Spółka Zbożowa" — potężny instrument władzy czechosłowackich agrariuszy -- była jedną z głównych sprężyn przeforsowania Monachium w republice.

W czerwcu zaś 1938 r. tak pisał praski korespondent Wacław Dresler we „Wsi i Państwie" o rozwoju partii agrarnej.

„Stronnictwo to nie tylko nie pozwala socjalistom, komunistom i faszystom na ugruntowanie ich pozycji organizacyjnych wśród wieśniaków, lecz samo zdradza ekspansję w kierunku miast prowincjonalnych. Istotnie udało się założyć i szczęśliwie rozbudować dość gęstą sieć własnych organizacji w najruchliwszych centrach przemysłowych..." Dlaczego? „Reprezentanci ugrupowania agrarnego stoją *na czele najpotężniejszych koncernów bankowych, przemysłowych i handlowych*".

Co się tyczy walki z komunizmem Dresler nie łgał, ale frazes o niedopuszczeniu do ugruntowania się faszyzmu był obłudną doczepką. Bo skądże miał się brać faszyzm, jak nie z kręgu reprezentantów najpotężniejszych koncernów bankowych, przemysłowych i handlowych"? A oni przecież kierowali Stronnictwem Agrarnym. Oni oddali Hitlerowi cały rynsztunek zbrojeniowy Czechosłowacji w haniebnej kapitulacji, oni bowiem za cenę udziału w akcjach i umowach przemysłowo-kredytowych służyli rozwojowi niemieckiego uzbrojenia wojennego i polityce hitlerowskiego zaboru. Oni wyhodowali obłędną, zdradziecką działalność ks. Hlinki i Tiso na Słowacji szerząc dla ogłupienia chłopstwa a zysku kułackiego mity „o prawie krwi i ziemi"; z tym, że produkcja rolna stanowi „po dawnemu podstawę wszelkiego życia zbiorowego".

Baronom na gorzelniach, cukrowniach i handlu zbożem dobrze układały się ceny, giełda pracowała na ich zysk i ubezpieczenie, gruchocząc małorolnych chłopów. Monopolem i organizacją spółdzielczą dyktowali masom drobiazgu chłopskiego żelazne prawa wyzysku i przegranej. Ale ci baronowie rolni siedzieli na dwóch siodłach i siodło przemysłowo-bankowe stanowiło dla nich od dawna główną podstawę rynku i monopolistycznego panowania w całej gospodarce czechosłowackiej.

*

Z jakim rozczarowaniem i smutkiem przychodzi nam czytać listy Witosa, z których agrarystyczna fronda w naszym ruchu ludowym kleciła tarczę dla osłonięcia rozwijającej się i u nas zdrady nie tylko interesów klasowych biednego chłopstwa, ale również zdrady narodu, czego dowiodło kierownictwo ruchu ludowego podczas okupacji w tzw. „rządzie londyńskim", a później w próbie odegrania przez Mikołajczyka roli trojańskiego konia imperializmu anglo-amerykańskiego.

Ileż w tych listach Witosa (ogłoszonych we „Wsi i Państwie") zamętu i sprzeczności, z których nie potrafił się wywikłać. Sam wszak pisał o tym, że *„jeżeli na przestrzeni 10 procent ziemi* (w Czechosłowacji) *mieściło się przeszło 80 procent chłopów, a 90 rodzin* (obszarniczych) *zajmowało 35 procent ziemi, to cyfry te dają dostateczny obraz położenia"*.

Czyż zatem te liczby nie otwierały oczu na nędzę mas chłopskich w Czechosłowacji? Nie demaskowały roli agrarnych organizacji? (spółdzielczości rolnej, kredytowej, Banków Rolnego i Spożywców?) Nie ukazywały organizacji kapitału monopolistycznego, najostrzej równającego w dół masy pracujące?

Czyż zatem te liczby nie kompromitowały Stronnictwa Agrarnego, najoczywistszego Lewiatana czeskiego?

Mimo tych liczb i wbrew ich wymowie Witos dawał upust obserwacjom, które obiektywnie zawracały za każdym razem na drogę, po której biedne chłopstwo i naród pchał agrarny obóz do zguby.

W tych obserwacjach — które dziś znów odczytujemy po latach — nie zniknęła dramatyczna sprzeczność. To znaczy to wszystko, co przemawiało wyraźnie przeciw agraryzmowi czeskiemu i jego burżuazyjnej, monopolistycznej praktyce.

Pisał zachwycony Witos o tym, że „wszyscy (w Czechosłowacji) uznają pożyteczną pracę rolnika i odnoszą się do niego z szacunkiem i życzliwością. Nikt się nie gorszy jego *dorobkiem* ani też nie *niszczy inicjatywy*. Na przeszkodzie nie stoją mu urzędy, przepisy, ustawy, ale *przychodzą mu z ułatwieniem i pomocą*".

Co to znaczyło przy 80 proc. chłopów na 16 proc. ziemi całego kraju? Tylko jedno — polityczne i ekonomiczne panowanie na wsi kułaka. On to się cieszył uznaniem dla dorobku i inicjatywy. Jemu przepisy i ustawy (parlament agrariuszy!) szły z ułatwieniem i pomocą.

A to znaczy, że ten sam mechanizm musiał działać z całą bezwzględnością przeciw masom chłopstwa. Ono płaciło cenę pozycji kułaka.

„Z wielką skrupulatnością — pisał Witos — prowadzi *rachunek i kontrolę działów* i roślin w swoim gospodarstwie i stara się hodować tylko to, *co mu się najlepiej opłaca*. Nic *nie robi dla tradycji ani z przyzwyczajenia*. Stąd niektóre okolice przerzucają się *dość gwałtownie* do różnych systemów gospodarowania!"

Czyjże to portret? Trzeba mieć sporo ziemi i wysoko technicznie postawioną gospodarkę, aby „prowadzić rachunki działów". Portret to kułaka, w kraju rozwiniętego kapitalizmu, kułaka zrośniętego z blokiem obszarniczo-kartelowym, przedsiębiorcy i handlowca, którego już nie krępują „wiejska tradycja i wiejskie zacofanie". To on może hodować „co mu się najlepiej opłaca". I on nie pada w zmiennych koniunkturach, w cyklach „nadprodukcji" pewnych gałęzi płodów rolnych i katastrofalnego obniżenia cen. Ale „okolice całe", które „dość gwałtownie" przerzucały się do innych systemów — one w tej huśtawce — ponosiły klęski, równe żywiołowym.

I ta huśtawka ukazuje system „agrarnego" bloku monopolów, cyniczny system druzgotania mas chłopstwa pracującego.

„O cenie jego produktów — pisał Witos — nie decyduje przypadek, handlarz i oko, ale waga i *giełda codzienna* Produkty sprzedaje *spółce lub kooperatywie*"

Ale ta giełda i ta spółka to były ogniwa monopolistycznego kapitału, który pod firmą polityczną Stronnictwa Agrarnego hulał jak orkan nad głowami 80 proc chłopów, żyjących na 16 proc. ziemi całego kraju.

**Wawrzyniec Osina**

TEOFIL KOWALCZYK

## *Droga przez rodzinną wieś*

*Witam gliniaste drogi polne.*
*Witam rówieśnic grono — sosny.*
*Tu buk stał gruby, a pod bukiem*
*Musiała dom wrósł w glebę mocny.*

*Byłby się może ostał do dziś,*
*żaden by wiatr mu nie dał rady,*
*lecz Musiał o komunie marzył*
*i o to z dworem miewał zwady.*

*Defa zabrała go. Nie wrócił.*
*Żona umarła w styczeń mroźny.*
*Spłonął pod bukiem dom — choć dotąd*
*pożar nad wsią nie szalał groźny.*

*— Komunę ogniem wypalimy!*
*Śladu nie będzie! — orzekł dziedzic.*
*I stało się. Tej samej zimy,*
*buk półzwęglony znikł z tej miedzy.*

*Dwadzieścia lat te dzieje liczą.*
*We dworze dzisiaj — gwar i śpiewy:*
*Chłopi spółdzielczych praw się uczą.*
*W parku wiatr szumi w starych drzewach.*

*Tam — gdzie Musiała dom stał niegdyś,*
*gdzie buk ogromny wspierał niebo,*
*traktor odwraca ciężkie skiby,*
*spółdzielcze zboża się kolebią.*

*Nie ma dziedzica. — Piwnic defy*
*Któż naszym ziarnom wschód zagrodzi! —*
*Gdy ogień buchnął z tamtej strzechy*
*we wsi komunizm się — narodził.*

# POLSKA WSPÓŁCZESNA RODZINA CHŁOPSKA

J. K. Maciejewski

STANISŁAW STASZYC

## Listy, kroniki, dzienniki

# Z „DZIENNIKA PODRÓŻY“

### Z KRAKOWA DO OLKUSZA

DNIA 28 CZERWCA 1798. Droga z Krakowa do Olkusza zabiera pół godziny w górę. ...„O pół mili od Nowej Góry wieś Ostrożeniec. Grunta zawsze tej samej górzystej płaszczyzny. O ćwierć mili od wsi razem z daleka widać piaski i choinę. W tej wielkie rumy, gruzy ziemi kilkanaście razy przewróconej. Są to kopalnie galmanu czyli zynku z ołowiem. Te kopalnie dawniejszemi czasy miały swoje okna; dobywano kruszec z ziemi, potym zaniedbane zostały. Okruchy przodków naszych porzucone dzisiaj prawnuki ich jeszcze przepłukują i dobyty ołów przedają garncarzom do polewy pieców. Szczęśliwy dzień da zarobić pracującemu do półtora złotego; powszechnie za 20 groszy może dopłukać się ołowiu. Zastałem płuczących kobiet, dzieci i starców mnóstwo; każdy z nich dla siebie pracował. Grunt tu należy do księżny Lubomirskiej. Za polskiego rządu dziedzic tej ziemi dobył okna jednego nowego, z którego okazuje się, że dawne roboty są zapadłe. Z tego okna dobywał galman.

Ludzie pracowali za pańszczyznę. Dobyty galman był przepalany, w beczki bity i do Gdańska przesełany; tam dopiero przekupnicy czyścili go i rozwozili morzem po Europie. Teraz przez upadek kraju ten handel upadł. Widziałem kilkadziesiąt beczek dawnego przygotowanego kruszcu, już powietrzem zniszczonych w polu dla niemocy sprzedaży. Galman mineralizuje się w kamieniu wapiennym.

Taż sama wyniosłość górzysta ciągnie się od Ostrożeńca o milę do Olkusza. Piaski już powszechniejsze. Grunta nieurodzajne. Z daleka smutne ukazują się jakiegoś wielkiego miasta rozwaliska.

Te otacza prawie nakoło okiem nieprzejrzane morze piasku, na którym się ledwo gdzieniegdzie zaczepić może karłowatego krzaku krzew. Pod tym nieużytym na oko smutnym piaszczyskiem kryją się bogate kruszcze ołowiu i srebra. Ale zbyt chciwe na wszelką wilgoć piaszczysko każdą wodę, która się tylko z którejkolwiek strony ku niemu zbliży nagle w siebie chłonie i zatapia człowieka i prace jego, który się kusi dobywać spod niego bogatego kruszcu. Pod tym piaskiem są warstwy kamienia wapiennego; w tych mineralizują ołów, zynk i srebro.

Kruszcze te, przez osielców tych piasków odkryte, były nadane z przywilejem miasta mieszczanom Olkusza przez królów. Wkrótce miasto to przyszło do wzrostu. Mieszkaniec piasku stał się bogatym. Nieprawnym przesądem feudalizmu majątek ten przenosił się w domy szlachty. Zhańbiony urodzeniem, chociaż bogaty mieszczanin, uciekając przed wstydem urodzenia, wydawał córki za szlachtę i za senatorów, którzy nie szczęścia swojego albo żony, ale groszów wzgardzonego łyczaka upatrując, skoro piniądze zabrali, żonę jako nieczystej krwi niewolnicę swojej lubieży lub dziwactwu poświęcali.

Za króla Stanisława zaczęto przypominać sobie o kopalniach Olkusza. Niektórzy z ciekawszych rzucili oko, znaleziono wszystkie dzieła dawne podziemne zapadłe i wodami zatopione. Na nowych dobycie nikt nie chciał łożyć. Mieszczanie pierwsi zaczęli gruzy przez swoich ojców po polach już porzucone, znowu przepłukiwać i z nich wybierać opadły ołów i ten przedawać.

Mal. Aleksander Kotsis

Prusacy przez te kilkanaście miesięcy, co kraj ten zagrabili, otworzyli trzy okna nowe, nie trudniąc się dawnych robót odkryciem. Jedno w miejście; dwa są o ćwierć mili od miasta w lasku ku Bolesławowi między kanałami dawnemi, pod ziemią. Studnia w miejście jest skończona i najgłębsza ma sążni 17. W tej już robota pruska była znaczna. Trafiła ona na dawną hulicę. Widziałem ją, jest sposobem prostym stęplowana, ale drzewo częścią połamane i zawalone. Prusacy więc rozpoczęli trzy ulice nowe. Temi idąc o kilkadziesiąt kroków w kamieniu wapiennym sucho. Napadali często co kilka łokci na gniazda kruszczu różnej wielkości; były niektóre do dwóch, trzech i dziesięciu łokci calcu. Widać, że praca ta tylko była dorywcza i porządna, ale wszystko dowodzi, jak ruda jest bogata. W tych gniazdach, jeszcze zupełnie nieprzebranych, kruszec różnej wielkości jak groch, często sztukami, do pół cala miąższemi, a to gęsto w masie zmiękczonego, niby przegniłego kamienia wapiennego nasiany.

### POD GORLICAMI

ŻYTA ani pszenicy tu nie sieją na zimę, bo śniegi zbytnie długo leżą, a przeto ozime siewy nie udają się, chociaż ziemia jest dobra; glina z płonkową zegnojona, rodziłaby, ale ja sądzę, że cała przyczyna nieurodzaju zbóż ozimych jest zbytnio długie leżenie śniegów. Jarzynę więc tylko sieją: jęczmiona, reczki, owsów najwięcej. Mięsa jadają mało; chlebem owsianym żyją powszechnie. Po zboża częścią zajeżdżają w Krakowskie. Mlecznym obchodzą się całe lato. Bydła chowają więcej, jak gospodarze naszych równin. Tu każdy ma najmniej po sztuk 7, 8, a niektórzy mają po 10, 12 i 15 sztuk. Każden prawie ma owce do 30, 40 i 80 i 100 sztuk. Te żywią całe lato po górach, a z mleczna robią sery, gomółki i sami żywią się. W roku 1800, w miesiącu lipcu, kiedy ja te góry objeżdżałem, zastałem w tym kraju wielki niedostatek, bo zboże i w równym kraju dla nieurodzaju przeszłego lata było drogie i rzadkie. Jedli tu więc ludzie chleb z owsa, napół z otrębami mieszanego. Komornicy najwięcej zielskiem utrzymywali się.

Na branie rekruta niezbytnio go widziałem czułym. Brano tu z gruntu tak, że kobiety, po sześć dzieci mające, zostawały się przy gruncie. Ludność tu jest wielka i rodzajność kobiet barzo znaczna. W każdym domie gospodarz; u gospodarza po 5, 6, 7 etc. dzieci ma. Kobieta plenna z skrupulstwa, gorąca. Przeniewierzenie się nie jest w opinii ich bardzo surowo widziane.

### PRZEZ KIELECCZYZNĘ

DNIA 20 sierpnia 1800. Zwiedzałem okolice Buska miasta, pod którym za Stanisława Augusta w kilka lat po pierwszym rozbiorze i utracie soli znalezione były źrzódła słone; sprowadzeni kosztem Rzplitej kopalnicy z Saksonii, wystawiona cała fabryka, do soli warzonki potrzebna. Wydawała woda ta soli nie w pomiarze do kosztu drzewa, ile w tym kraju nie odpowiadał wielki zysk kosztowi; przecięż w nadziei, azaliż szukając lepszych źrzódeł, nie spotkają góry kopalnej, nadszedł ostatni rozbiór. Ludzie ci sprowadzeni zostali rozpędzeni, a budowla teraz niszczeje. Źrzódło pierwsze jest znalezione o kilka staj od miasta, na trzeciej części prawie padzistości wzgórku. Gdy to nie starczyło, spuszczono się o kilkadziesiąt kroków niżej i kopano drugą, jeszcze obfitszą studnią.

Dolina ta, w której się to źródło znajduje, jest doliną rozlewów Nidy rzeki, której niegdyż brzegami było pasmo wzgórzystości gliniastej, na której leży Czarnkowa, Jurków etc., a drugim brzegiem było pasmo gór wapiennych, na których stoi miasto Stobnica i miasto Busk etc. Ta dolina jest osobliwsza z wielorakości różnych gatunków kamienia i ziemi.

Jak tylko pod Wiślicą przejedziesz Nidę, zaraz brzegi lewe całe są z gipsu. Ten gips ciągnie się przez całą tę dolinę aż blisko gór wapiennych i zdaje się, że on zalega grunt cały tej doliny, na dwie mile szerokości mającej. Po wielu miejscach warszty gipsu wydobywają się cyplami, wzgórkami przez bieg wód Nidy obdartemi, jak to jest skała, na której stoi cała wieś Kotle z murowanym kościołem. Potym wynosi się ciągłe pasmo góry wapiennej; ta od południa ma kamień wapienny dobry, twardy. Od północy po drugiej stronie najwięcej ma kamienia białego, margielowatego, który na powietrzu i deszczu kruszeje. W tych kamieniach wapiennych z jednej i z drugiej strony znajdują się małże morskie. Widziałem także w kilku warsztach głęboko wiele kamieni granitu czerwonego; runione. Z tej góry zszedłszy w dolinę, w której leżą wsie Widuchowa, Kołaczkowice etc., jest cała dolina także piaskiem zwierowatym usypana, często miesza się ziemia płonkowa, kamienie, granity, skałki, krzemienie, kwarce, wszystkie obce, runione. Rolnictwo jest w tym całym kraju podobne do rolnictwa w Krakowskim. Są kmiecie, zagrodnicy i komornicy. Wsie małe, ale dosyć gęste. Lud jest innego już stroju od Krakowiaków. Podkówek i kołnierzów i pasów z kółkami nie nosi. Mają żupany, najczęściej niebieskiego koloru. Mniej pracowity, zuchwały i pijak.

**Stanisław Staszyc**

*Na kolumnie tej czytelnik odnowi kontakt z wielkimi pisarzami minionych wieków i lat w tych zakresach prozatorskiej sztuki, jakie rodził zawsze napór bieżącego życia społecznego. W naszym wyborze rodzaje tego pisarstwa przypominają się poprzez „Dzienniki wojażów“, „Kroniki tygodniowe“ i „Listy z podróży“. W tej wycieczce w historię literatury, na jej zdawałoby się peryferie, spotkamy wielkich pisarzy w głębi kraju, osobiście poznających życie uciemiężonych klas. Ujrzymy jak głęboko zanurzali się w potoku wydarzeń i faktów szczegółowych. Jak swój warsztat pisarski podbudowywali fundamentem wiedzy o życiu społecznym, wiedzy zdobywanej w osobistych — programowo — przeprowadzunych badaniach i doświadczeniach.*

*Jakąż okazywali wrażliwość i czujność wobec wydarzeń konkretnych, zachodzących na ich oczach! Jak z tych obserwacji i postrzeżeń umieli wyciągać ogólniejsze, uzasadnione wnioski historyczno-polityczne!*

*W tej wycieczce w historię literatury, na jej zdawałoby się peryferie, spotkamy wielkich pisarzy w pracy dokumentacyjnej: w pracy, która doraźnie, natychmiast odzwierciedlała ówczesne stosunki na odcinkach, jakie obserwowali z bliska i bezpośrednio.*

*Spotkamy pisarzy — wielkich obywateli i działaczy społecznych. Przekonamy się, jak wiele dla nich znaczyło poznać swój kraj i walczyć na całym froncie sztuki pisarskiej od dzienników, listów i kronik poczynając. To znaczy nieomal tego samego dnia, w którym doświadczenia i obserwacje odsłoniły nowe zagadnienia i zadania. Staszyc zapisywał informacje dosłownie wówczas, kiedy je zdobył, a zapisywał na czym popadło: były to nieraz ozdobne programy teatralne warszawskich sztuk, odwroty kart inspekcyjnych itd.*

*Z tej wycieczki w historię literatury trudno nie wynieść głębokiego przeświadczenia, że Dzienniki, Kroniki i Listy wielkich pisarzy stanowią nie tylko rodzaj uboczny ich twórczości, ale również jej FUNDAMENT.*

*Uczmy się za ich wzorem kochać tak głęboko naszą ojczyznę, tak osobiście znać jej dziś nowe, przemieniające się życie i rozporządzając taką bogatą wiedzą o kraju dawać jej bezpośredni wyraz w korespondencjach i w innych formach doraźnego zapisu, dokumencie naszej nowej, ludowej historii i fundamencie warsztatu pisarza.*

*REDAKCJA*

STEFAN ŻEROMSKI

# Z „ODGŁOSÓW KRAKOWSKICH”

ZASYPIAŁEM wczoraj w bardzo mdłym humorze: w pokoju było zimno, jak w psiarni — a w dodatku naczytałem się na noc „Najnowszych wyników spisu ludności z 31 grudnia 1890 r. prof. Tadeusza Pilata. Nieładnie jest przecie, jeżeli w 17-tu powiatach Galicji na 100 kobiet więcej niż 90 nie umie ani czytać, ani pisać, a jeszcze nieładniej, jeżeli cyfra ta, jak w powiecie Turczańskim dochodzi do 97. Płeć piękna w Galicji nie zdradza w ogóle zgubnych popędów emancypacyjnych, ale znowu w niektórych powiatach jest owego wstrętu do literatury trochę za wiele: w pow. Turka nie czyta 97,62 proc., w pow. Bohorodczany 96,99, w pow. Kossów 95,07, w pow. Lisko 94,82, w pow. Nadwórna 94,53, w pow. Rawa 94,49 proc. itd.

Zato płeć brzydka rwie się do nauki: tylko w pięciu z wymienionych powiatów liczba analfabetów przewyższa 90 proc. W pow. Turczańskim nie czyta 94,26 proc., w pow. Lisko 93,27 proc., Bohorodczany 92,04 Nadwórna 90,81 proc., Kossów 90,71 proc.

Wprawdzie nawet w stołecznym mieście Krakowie analfabeci stanowią ponad połowę ogólnej liczby mieszkańców (25,86 proc. analf. mężczyzn i 32,98 proc. kobiet), a powiat krakowski miał ich 50 proc... ale jest przecie i taki, niestety, jeden jedyny powiat bialski, gdzie nie czyta mniejsza część ludności, tylko 40,35 proc. Porównywując wyniki spisu ludności z r. 1890 pod względem wykształcenia elementarnego z wynikami z r. 1880, prof. Pilat znajduje, że wówczas było w Galicji analfabetów przeciętnie 77,08 proc., a obecnie jest 66,4 proc.

...Czytałem „Z doświadczeń i rozmyślań“ hr. St. Tarnowskiego, w niejakim wzburzeniu wszystkich władz umysłowych, bo w rzeczy samej znalazłem tam wskazania, mające na celu oświatę ludu w Galicji, a zdradzające statek i bystrość, a nawet dowcip. Dobry hrabia roztacza przed nami taki np. deseń:

„Tu rada jedna, ale stanowcza i dostateczna byłaby w Bractwie Nauczycielskim, które nie potrzebowałoby być zakonem, ale poświęcałoby się na służbę z miłości Boga i bliźniego, z religijnego powołania. Francuscy braciszkowie de la doctrine chrètienne mogliby być gotowym i doskonałym wzorem“.

Nie poprzestając na tyle szczytnem rozwiązaniu palącej kwestii, hr. Tarnowski zwraca uwagę ogółu na inne jeszcze leki, jakie tylko umysł „tej miary“ wyszukać zdoła z tak przedziwną łatwością.

Oto np., co radzi mieszkającym — „W pałacach“:

„...Tych kół towarzyskich... tych rodzin bogatszych i zdawna cywilizowanych, jest przeznaczeniem — chcą czy nie chcą — być dla cudzoziemców miarą, typem, świadectwem oświaty i ogłady naszej, a dla nas jej okazem próbnym. Tak, jak suknie, męskie, czy damskie, w Warszawie, Krakowie, czy Lwowie, krają się według dziennika, mód, wychodzącego w Paryżu czy Londynie, tak formy życia towarzyskiego, przedmiot i sposób rozmowy, stopień grzeczności i ogłady, bądź to w miastach, bądź na wsi, w sąsiedztwie, stosuje się do przykładu tych, o których się przypuszcza, że mają tej towarzyskiej estetyki najwięcej. Stąd powinność podwójna: żeby obcym dawać wyobrażenie jak najkorzystniejsze o cywilizacji naszej — żeby swoim dawać jak najlepsze wzory zagranicznej. Nie opuszczać się, nie rdzewieć, nie usuwać się od towarzyskiego życia dla małych niewygód i przymusu, jaki on nakłada... Nie zaniedbywać języków zagranicznych, bo swoim własnym przez świat przejść nie zdołamy. Dawniej było u nas francuszczyzny za dużo, ale też takeśmy na nią narzekali, że dziś jest jej między młodymi (mężczyznami) stanowczo za mało...

A więc wiele wykształcenia i oświaty, wiele towarzyskiej ogłady i poloru, stosunki ze światem zagranicznym, a w nim jak najlepsza postawa i sława, oto pożytki bardzo wielkie, jakie nam mogą przynieść młodzi Polacy i młode Polki z majątkami i tytułami“.

No itd. sączy się ten styl śliski, miękki, wlokący się jak plwocina. Tam dopiero zamienia się na las wykrzykników i znaków zapytania, iskrzy się złością i oszczerstwem, gdzie kończą się „oświadczenia“, a zaczynają „wymyślania“.

Nie mam ani miejsca, ani odpowiedniego, jak mówił Krasiński, „hańby słowa“ na streszczanie całej tej książki... A przecież — kto przeczyta całą tę dziadowską filozofię kruchty i przyjrzy się następnie życiu Galicyi, musi stwierdzić ogromną zależność jego przejawów od ogólnego tonu „Doświadczeń i rozmyślań“... Galicya na zawsze widać pozostanie krajem lokajów arystokracji, choćby jej rozwojem kierowali całkiem nie — szlachcice...

Nim dzieło hr. Tarnowskiego posypią proszkiem otwockim zapomnienia, muszę zaznaczyć wartość tego utworu, jako kapitalnego przyczynku do historyi obłudy ludzkiej. Bez wątpienia, żaden typ znany, ani Świętoszek — Moliera, ani Uriah Hepp — Dickensa, ani Juduszka Gołowlew — Szczedryna nie skupia w sobie obłudy tyle, ile jej mieści ta książka. Obłudną ona jest w każdym niemal wierszu, w każdem ze zdań wtrąconych, a przede wszystkim obłudną jest w arcy-humorystycznem wywracaniu oczu w kierunku „chat“...

...Poseł Edward Gniewosz, zabierając głos w komisyi budżetowej przy rozprawie nad wnioskiem p. Pinińskiego o „stabilizacyę“ inspektorów szkół ludowych, zaznaczył, że w Galicyi 2.000 gmin nie mają szkół zupełnie, że 1.000 szkół już istniejących funkcjonuje nieprawidłowo, ze z liczby 5.600 nauczycieli ludowych — 600 jest niewykwalifikowanych, a 1.500 praktykantów lub supientów.

*

...„Górskim powiatom Galicyi zachodniej i całemu Powiślu grozi głód. W powiecie Myślenickim 62 tysiące osób głoduje i nie ma ziarna na zasiew wiosenny. W 19-tu wsiach ani jedna rodzina nie posiada zapasów żywności. Z powiatu Żywieckiego donoszą, że wysuszone i zmielone łupiny kartoflane, pomieszane z owsianą mąką i zalane wodą, stanowią jedyne pożywienie wielu lud i. W powiecie Krakowskim w 23-ch gminach około 3.000 ludzi nie posiada żadnych środków do wyżywienia się. W powiecie Wielickim położenie pogarsza się z dnia na dzień i głód doskwiera ludności. Klęska nieurodzaju dotknęła również powiaty: Sondecki, Limanowski, Grybowski, Wadowicki, Kolbuszowski, Mielecki, Łańcucki. W powiecie Bialskim na 48 gmin w 40 panuje głód, w Nowotarskim głód i wielka śmiertelność, w Tarnowskim głód grozi połowie powiatu. Ogółem głodujących jest 600.000.

Pomoc, uchwalona z funduszów państwowych celem złagodzenia nędzy, wyniesie około 60.000 reńskich. Znowu tedy biegli w matematyce mieli robotę z obliczaniem; wypadło tak: jeżeli obdzielić głodujących jednorazowo, to każdy zgłodniały dostanie naraz 10 bułek po cenie sztuka w sztukę, jeżeli zaś obdzielać w ciągu 10 dni, to każdy zgłodniały dostanie codziennie jedną bułkę za centa.

Poseł chłopski Potoczek interpelował w sejmie komisarza rządowego, kiedy mianowicie Wysoki Rząd zamierza przystąpić do rozdziału tej kwoty, czy, nie poprzestając na doraźnej pomocy, przyjdzie w pomoc większym zasiłkiem, czy odpisane zostaną podatki, jakie z powodu klęsk elementarnych odpisane być mogą, itd.

W głębi duszy poseł chłopski mówił: „My, polscy i ruscy włościanie, przez 77 lat składamy ofiary i daniny, daniny na ołtarzu rządowego skarbu, mamy prawo więc domagać się pomocy w latach nieurodzaju. Mamyż czekać z założonymi rękami, aż jednych głód wywiezie na wieczny odpoczynek, a innych przemysłowcy sprzedadzą za ostatnie kilo konsumcyjnego towaru. W r. 1889 dla samej Galicyi udzielono 600.000 reńskich, jako pożyczkę bezprocentową, a 300.000 jako bezpowrotną zapomogę. A dziś co się dzieje? Dla towarzystwa żeglugi parowej na Dunaju, dla jakichś Lloydów rozmaitych znalazło się od razu pięć milionów, a dla całego ludu rolniczego ofiarowano tyle, że nie wiemy naprawdę, czy to sen, czy mara. Dla wszystkich krajów, reprezentowanych w Radzie państwa, przeznaczono zaledwie 360.000 złr., pomimo że dla samej Galicji udzielono 600.000 byłoby za wiele. A teraz dzielcie się, jak możecie, żyjcie lub umierajcie — wszystko nam jedno...!

*1892 r.* **Stefan Żeromski**

BOLESŁAW PRUS

# Z „KRONIK TYGODNIOWYCH”

**„Co mi z tego, że artysta buduje świat z brylantów, kwiatów, regularnych rysów, wiecznie pogodnego nieba itd. jeżeli w tym świecie ja nie mogę dopatrzeć otaczającej mnie rzeczywistości? Co mi z tych bohaterów, w których nie ma fundamentalnych rysów ludzkich? Co mi z wielkich sytuacji, które komponują się i kopiują z wieku na wiek, kiedy one wcale nie rozjaśniają mi prawdy życiowej“.**

(Kurier Warszawski r. 1885 nr 18)

*SPOJRZYJCIE tylko na to, co się dzieje. Potężny kanclerz niemiecki zapowiada wprost, że interesa Niemiec każą im wyzyskiwać — między innymi nas, Polaków. Skutkiem coraz silniejszego zamykania się granic, za towary obce płacić musimy coraz drożej; każdy zaś grosz, w ten sposób wydany, równa się jednej kropli potu, krwi i łez naszych. Ludzie obcy mnożą machiny użyteczne, wymyślają coraz nowsze i łatwiejsze sposoby produkcji i wiadomości swoje rozsypują między coraz szersze warstwy społeczne.*

*Co wobec tego najazdu kapitałów, przymiotów społecznych, przemysłowych i handlowych, sprytu, wiedzy i doświadczenia, co my poczniemy biedni, wśród których kilka milionów obywateli czytać ani pisać nie umie, świata nie zna, o postępach cywilizacji nie wie i nie domyśla się nawet grożących niebezpieczeństw?...*

*...Kraj nasz jest wybrzeżem, które podmywa niestrudzona fala zachodniego najazdu. Wszystkie wskazówki zapowiadają, że przybór wzrasta i — nim jedno pokolenie przejdzie — strasznych nabierze rozmiarów.*

(Kurier Warszawski r. 1879, nr 122)

*

*SPYTAJCIE Niemca, Francuza, Anglika — od czego zależy pomyślność rolnictwa? Odpowiedzą, że od żyzności ziemi, taniej robocizny, ulepszeń w gospodarstwie, rachunkowości itd. Tymczasem u nas stan rolnictwa wcale nie zależy od pracy i rozumu naszych rolników, lecz głównie od... klęsk, jakie spadają na innych. Tak na przykład niskie ceny zboża u nas podskoczyły dopiero wówczas, gdy niektóre terytoria Stanów Zjednoczonych uległy powodziom. Gdyby zaś podobało się Bogu nawiedzić Węgry szarańczą, Niemcy ulewą, Francję posuchą, Amerykę trzęsieniem ziemi lub czymś podobnym, nasi rolnicy zostaliby od razu panami, a nasz kraj — spichrzem Europy!...*

*Nie złapcie się też na taki frazes, jak: „praca nad podniesieniem ludu“. Gdzie indziej myśli się naprzód o tym, ażeby „lud“ miał co jeść, później — ażeby miał zbywające pieniądze, a dopiero potem, gdy ma pieniądze, za które może kupić książkę, myśli sie — o wydawaniu ludowych książek.*

*My robimy na odwrót. Naprzód bowiem ufundowaliśmy Macierz, która wydaje tanie książki dla ludu, lecz wcale nie pytamy się, czy „lud“ ma pieniądze na książki, a tym mniej myślimy o zaoszczędzeniu mu jakiegoś grosza...*

*Dlatego chłop, którego usuwają od spółek rolniczych, a zasypują książeczkami, na apostołów oświaty patrzy — jak na wariatów. W jego prostym umyśle dawać komu książkę bez chleba, znaczy to samo, co budować kościół od dachu. Nie myśli on więc o „zbliżeniu“ się, nie*

Rys. Franciszek Kostrzewski

*przez niechęć, ale przez nieufność. W istocie, po co zbliżać się do takich, którzy mają „źle w głowie“?...*

*To dobry pan — mówią o apostołach oświaty — ino ma kiepski rozum. Ale człek, dobry!...*

(Nowiny r. 1883, nr 56)

*

*WISTOCIE bal na dobroczynność jest wielkim wynalazkiem. Gubimy grzechy przy dźwiękach orkiestry Soneenfelda i stajemy się męczennikami przez ciasne kamasze.*

*Ten, który spotniał w galopce, równy nieledwie temu, który pocił się w modlitwie i trwodze. Kielich szampana prawie, tyle wart — co gąbka napojona octem i żółcią. Po walcu kadryl, po kadrylu mazur, a po mazurze — „Hosanna“. Przy tym bliźni utrzymujący magazyn bierze 100 rubli, bliźni kareciarz 10 rubli, bliźni restaurator 5 rubli, a ubogi — złotówkę. Ta właśnie ostatnia złotówka, wypłacona w miesiąc po balu, zapewnia tak cudowne skutki. Więc wiwat postęp w prawdziwej pobożności!...*

(Nowiny r. 1883, nr 42)

*

*CHARAKTERYSTYCZNY przykład monopolu w „imię publicznego dobra“ — mieliśmy na zjeździe górników. Nasi właściciele kopalń — wielkim głosem domagali się podwyżki cła na węgiel, gdyż inaczej — „górnictwo ojczyste upadnie“, a kraj zostanie „zasypany węglem niemieckim“, naturalnie tańszym.*

*To mi patriotyzm!... Ja, konsument węgla, mam płacić po 3 grosze drożej od puda w tym celu, ażeby właściciele kopalń mogli zaprowadzić u siebie wszelkie ulepszenia, współzawodniczyć z węglarzami śląskimi i zyskiwać przynajmniej tyle co oni. Dobrze. Ale jak już zaczną się zyski, czy i ja będę mieć w nich udział?... O, nie!... Więc za cóż mam dziś płacić?...*

(Nowiny r. 1883, nr 56)

*

*MASY chłopskie! — zawoła niejeden z czytelników dawnego pokroju — a cóż to za „kwestia“ i do tego „wielka“?... Czym są one?... Tylko wyręczycielami klas inteligentnych w ciężkiej pracy — ziemią, z której wyrasta kwiat cywilizacji — gliną, z której mężowie stanu wznoszą gmachy państw — gromadą bezimiennych pionków, którymi wojownicy rozgrywają dziejowe partie.*

*Zdrowie chłopskie?... Zapewne jest ono szacownym darem bożym dla chłopa, ale niczym dla cywilizacji. Tysiące chłopów chorych lub zmarłych na tyfus nie zrównoważą na szalach świata choćby lekkiego reumatyzmu Bismarcka. Ślepota, spadła na całe gminy, nie sprawi tej klęski, co utrata wzroku przez jednego Herschela (astronom niemiecki 1792—1871 — przyp. red.). Gdyby stogi wiejskich bab oniemiało, nie odczuje tego Europa, którą utrata głosu jednej Nilson napełniłaby żalem. Gdyby setki chłopskich dzieci połamały ręce i nogi, jeszcze los ich nie wywoła tego skutku, co małe okaleczenie niemowlęcia nazywającego się Leonem hiszpańskim.*

*Ale praca chłopska?... Jużci jest ona użyteczna; ale równie użyteczna jest praca machiny lub wołu, których jednak nikt nie podnosi do znaczenia wielkiej kwestii. Nic nas nie*

Rys. Franciszek Kostrzewski

*interesuje, co w tej chwili robią chłopi bodaj w dziesięciu powiatach; ale najwyższą budzi w nas ciekawość: co robi Pasteur, Bismarck? Oni poruszają uczucia, oni są przedmiotem rozmów, ich dzieła przejdą do historii...*

*...Takimi niby filozoficznymi poglądami, a naprawdę sofizmatami osoby należące do inteligencji tłumaczą i usprawiedliwiają swoją grzeszną obojętność dla mas chłopskich.*

(Tygodnik Ilustrowany r. 1886, nr 183)

*

*TO więc co się dzieje w Poznańskim: sprzedawanie ziemi wrogom i wręcz zdradzanie własnego społeczeństwa, to nie jest bynajmniej winą przewrotności jednostek, które mogą nawet posiadać niejakie zalety, ale jest żelazną konsekwencją systemu własności wielkiej, czyli pobierania dochodów bez pracy.*

*Wszakże ta sama opinia publiczna, która przeklina i piętnuje „kurczycieli ziemi“, jednocześnie podziwia ich pałace i powozy, bije czołem przed ich dochodami i usiłuje naśladować ich zwyczaje.*

*Na próżno konserwatyści tłumaczyć by nam chcieli „pożytek“ własności wielkiej. „Ona — mówią — jest przytułkiem sztuk i nauk, ogniskiem cnót, rezerwuarem cywilizacji, śpiżarnią narodowości“. Wszystko to jest złudzeniem lub obłudą.*

*Bogaci próżniacy nie popierają sztuk, ale szyk w mieszkaniu; nie czytają nauk, ale nędzne romanse; nie są ogniskiem żadnych cnót, ale bardzo często — wyuzdanej rozpusty. Z cywilizacji biorą odłamki jej pokostu, nie domyślając się nawet leżącej pod nim treści. I w końcu — zatruwają sami język — francuskimi naleciałościami, jeżeli go wprost nie wytępiają. Są to fakty, na które ciągle patrzymy“.*

(Kurier Codzienny r. 1888, nr 125)

**Bolesław Prus**

ANDRZEJ KOWARA

# KRAJOBRAZ STALINGRADZKI

I

NA północ od Carycyna ciągną się lasy — surowiec drzewny. Na południe — pszenica. Na zachód — węgiel, nafta i bawełna. Kto włada Carycynem, włada Wołgą.

Jeśli zniszczy się *czerwoną Kartaginę* — tak w roku 1919 nazywała burżuazja Carycyn — wówczas upadnie podcięta u korzeni młoda władza radziecka.

Uderza więc dwadzieścia pułków białogwardyjskich i niemieckich. Trzy razy wróg atakuje i trzy razy dostaje cięgi. Anglicy bombardują z samolotów i pociągów pancernych. Francuscy najmici podciągają rezerwy. Wróg ma druzgocącą przewagę techniczną i liczebną. Zniszczyć Carycyn, złamać jego bohaterski proletariat i rewolucyjne oddziały robotników Donbasu. Ze stolic imperialistycznego świata padają oświadczenia: „Tak być musi. Tak się stanie!".

A jednak tak się nie stało. Dotychczasowi właściciele świata przeoczyli, że prawa nowej historii przechodzą już w ręce klasy, która będzie ich „grabarzem". Przypomniał im o tym Piotrograd, Archangielsk i... Carycyn.

Rok 1920. W Carycynie — tyfus i cholera, spadkobierca najeźdźców. Rok 1921 — 40 tysięcy ludzi głoduje w Carycynie, wokół stepy i pola wyniszczyła wojna. Rok 1922 — Carycyn oddycha, jak ciężko ranny człowiek, w którym przeważyły już siły życia. Będzie rósł i rozwijał się, jak cały Kraj Rad, choć angielski Times ogłasza w roku 1922, że „system bolszewicki drży w posadach w przededniu rozpadu na ruinach, które sam stworzył".

✻

Rankiem 17 czerwca 1930 pierwszy traktor opuszcza stalingradzką halę fabryczną. Carycyn nazywa się już od r. 1925 — *Stalingradem*. Traktor z fabryki imienia Feliksa Dzierżyńskiego rozpoczął służbę dla rolnictwa. 20 tysięcy traktorów — mało i 40 tysięcy — mało. Produkcja roczna osiąga 50 tysięcy traktorów. Burżuazyjni „spece" uważali, że trzeba na takie wyniki poczekać do roku dwutysięcznego. Człowiek radziecki nie czekał. Choć po raz pierwszy w życiu stanął przy obrabiarce, choć po raz pierwszy w życiu wiązał konstrukcje stalowe urządzeń kombinatu. I choć wielu z nich z trudem jeszcze sylabizowało słowo: traktor, ale wiedzieli, że „traktor — to maszyna wszystkich maszyn, sam orze, ciągnie wozy, wieś nędzy przemienia w wieś socjalizmu".

Stalingrad... rzucił na pola traktory. Spełnił wraz z Czelabińskiem zapowiedź Lenina: *„Gdybyśmy mogli dostarczyć jutro 100 tysięcy pierwszorzędnych traktorów... (wiecie doskonale, że na razie jest to fantazja)* — był to rok 1919 — *to średni chłop powiedziałby: „jestem za komuną" (to znaczy za komunizmem)"*

W roku 1940 pracowało na polach kołchozowych 7 razy po sto tysięcy traktorów...

✻

Ale Stalingrad stał przed wieloma innymi zadaniami, jakie miał wypełnić plan Goelro i stalinowskie budownictwo.

W Stalingradzie miał się domknąć kanałami powiązany system głównych rzek radzieckich, który by połączył pięć mórz: Bałtyckie, Białe, Azowskie, Czarne i Kaspijskie.

W Stalingradzie miała stanąć czwarta kaskada na Wołdze, czwarty wielki Hydrowęzeł energii elektrycznej.

On to, dzięki — projektowanym — połączeniom Wołgi z rzeką Moskwą, Newą, Donem i Uralem, stać miał w przyszłości nad *Wielką Wołgą*, dorzeczem swym obejmującą obszar o jedną czwartą większy od największej dotąd rzeki na świecie — Amazonki.

On przeto stawał na straży olbrzymich, niewyczerpanych bogactw na zachód — węgla i metalu, na wschód — nafty i bawełny, na południe — pszenicy, na północ — drzewa.

On miał być otoczony pierścieniami ogniw hydroelektrowni, gigantów przemysłowych i wężami kanałów, w bliskim i dalekim promieniu. W krążeniu bowiem wewnętrznym surowców i towarow był sercem od niepamiętnych czasów, przewodzącym obieg produkcji ze wszystkich stron wielkiego kraju.

✻

Mówić więc o Stalingradzie pierwszych trzech pięciolatek, to znaczy przypomnieć rok 1927, w którym rozpoczęto budowę największej hydroelektrowni Europy — Dnieprogres. Ziściło się już w r. 1932 odwieczne marzenie narodu ukraińskiego: na całej długości Dniepru stała si możliwa żegluga. Nowa arteria wodna połączyła naddnieprzańskie obszary z Morzem Czarnym. Energia elektryczna dotarła do stanic i chutorów kozackich. Wytapia metal w Krzywym Rogu, wydobywa węgiel w Zagłębiu Donieckim.

...Stalingrad — to znaczy przypomnieć otwarty w r. 1933 Kanał Białomorski, który połączył Morze Białe z Bałtyckim. Przewyższa on swoją długością (227 km) największe na świecie kanały łączące morza: Kiloński, Suezki i Panamski. Utorował bogactwom naturalnym Karelii drogę do Leningradu i przez Mariński System Wodny — *na Wołgę*.

...Stalingrad — to znaczy przypomnieć otwarcie w r. 1937 kanału *Moskwa — Wołga*. Zakres prac był tu równy zakresowi prac na kanale Panamskim. A różnica? Panamski budowano 35 lat, radziecki — 5.

Te dwa kanały rozwiązywały już część niemałą sprawy *Wielkiej Wołgi*. Przybliżały do realizacji leninowsko - stalinowski plan przeobrażenia przyrody i elektryfikacji kraju.

...Stalingrad — to znaczy przypomnieć pierwszy, najwyższy stopień ogromnej kaskady *wołżańskiej* — Hydrowęzeł Iwańkowski. Powstał on w ciągu drugiej pięciolatki i utworzył Morze Moskiewskie. Przypomnieć i drugi stopień kaskady — Hydroelektrownię Uglicką (1940 r.). Z początkiem wojny pracować zaczęły już turbiny wielkiej szczerbakowskiej Elektrowni Wodnej.

...Stalingrad, to znaczy przypomnieć: na zachodzie — Dnieprogres, na północy — Kanały i Hydrowęzły, na wschodzie północno-wschodzie Zagłębie Kuźnieckie, Magnitogorsk i Komsomolsk.

✻

Już pierwsza pięciolatka stalinowska głośnym echem odbiła się w prasie burżuazyjnej Europy i Ameryki.

„Fabryki traktorów w Charkowie i *Stalingradzie*, fabryka samochodów AMO w Moskwie, fabryka samolotów w Niżnim Nowogrodzie, dnieprowska elektrownia wodna, potężne odlewnie stali w Magnitogorsku i Kuźniecku, cała sieć budowy maszyn i fabryk chemicznych na Uralu, który przekształca się w radziecką Ruhrę..." („Round Table").

„Co się zaś tyczy *maszyn rolniczych*, ZSRR jest już niezależny od przywozu zagranicznego" („Financial Times").

„Nowe miasta powstały na *stepach* i pustyniach, nie jakieś kilka, lecz co najmniej 50 o ludności od 50 do 250 tys.... Setki nowych *elektrowni rejonowych* i cały szereg olbrzymów na wzór Dnieprostroju... *Drogowskazem równin radzieckich nie są już kopuły cerkiewne, lecz elewatory zbożowe i wieżowe silosy*.. Rosja szybko przechodzi od epoki drzewa do *epoki żelaza, stali, betonu, silników*" („Nation").

„Amerykanie przyznają, że nawet w okresie największej gorączki twórczej w stanach zachodnich nie było tam nic podobnego do obecnej twórczości w ZSRR. W ciągu ubiegłych dwóch lat w ZSRR zaszło tyle zmian, że nasza wyobraźnia nie umie wprost przedstawić sobie, co *będzie w tym kraju jeszcze za 10 lat*..." („Forvard").

„Nie próbujcie nie doceniać Rosjan i ich planów i nie popełniajcie błędów w nadziei, że rząd radziecki może upaść... *Rosja dzisiejsza — to kraj z duszą i ideałem*" (Gibson Jarvic, przewodniczący „United Dominion").

Traktory i maszyny rolnicze nad Dnieprem, Donem i Wołgą... Miasta rosnące na stepach... elektrownie rejonowe... Elewatory i wieże silosowe, górujące nad południowymi równinami, oto krajobraz dawnego Carycyna, krajobraz stalinowskiej pięciolatki, oglądanej ze strażnicy południa, wschodu, zachodu i północy, z centrum strategii wojennej i ekonomicznej.

...Stalingrad, w którym nigdy... „nie próbujcie nie doceniać Rosjan".

II

Pamiętamy: „30 sierpnia 42 r. stutysięczna armia Andersa, kompletnie wyposażona i gotowa do walki na rozkaz swego dowódcy opuszcza Związek Radziecki. Tego samego dnia Niemcy przełamują ostatni pas obrony radzieckiej — trzydzieści kilometrów od Stalingradu"...

Hitlerowcy dostają się na przedpola miasta. Są w mieście. Wielkie Zakłady Dzierżyńskiego — w płomieniach. Miasto — w płomieniach. Ale mimo huraganowego ognia artyleryjskiego, mimo nieprzerwanych drążeń setek bombowców, mimo wściekłych ataków trzydziestu sześciu dywizji, miasto i armia walczą. O kilka metrów od pierwszej linii bojowej — pod ulewą płomieni i ołowiu pracują robotnicy traktorowych zakładów, wypuszczają czołgi dla frontu.

A front? Odcięty Kaukaz od centrum kraju. Armia niemiecka usadzona między Donem i Wołgą zagraża śmiertelnie południowi i północy.

Pamiętamy: 19 listopada Dowództwo Armii Radzieckiej podejmuje ofensywę, która oskrzydla i zamyka w pierścień napastnika, 2 lutego 1943 armia Paulusa przestała istnieć. Tego dnia front zwycięskiej bitwy znajdował się już o 300 km na zachód od Stalingradu.

Pod Stalingradem, jak pod Moskwą, jak na koniec pod Berlinem strategia stalinowska zwyciężyła mechanistyczną doktrynę wojenną najpotężniejszej armii imperialistycznej świata.

„Rosja dzisiejsza — to kraj z duszą i ideałem" — ostrzegał angielski finansista. Pod Stalingradem żołnierz radziecki, radziecki człowiek okazał *duszę*, która ponad wszystko kocha swój naród, okazał siłę *ideału*, któremu na imię „Za wolność naszą i waszą".

Tu, pod Stalingradem znów posunęła się wskazówka nowej historii świata. „We Francji widziałem — pisał Erenburg — stary i mądry napis nad słonecznym zegarem: „Wszystkie ranią — jedna zabija". W lutym 43 r. cały świat już zrozumiał, że Stalingrad powalił faszyzm we wszystkich jego najeźdźczych rozgałęzieniach.

✻

Krajobraz stalingradzki... Tutaj — powiedzą ci — rewolucyjne oddziały frontu carycyńskiego 15 lipca 1918 r. rozpoczęły ofensywę przeciwko białogwardzistom. Tutaj walczyła przeciwko kontrrewolucji dywizja robotników z Donbasu. Zwyciężyli, aby w ojczyźnie robotniczo - chłopskiej zbudować socjalizm. Tutaj — gdzie teraz oglądasz ósmą śluzę *kanału Wołga—Don*. A tu znowu śladu już nie ma po rowach przeciwczołgowych, choć właśnie tutaj armia radziecka rozbiła pancerne dywizje hitlerowskie Mannsteina. Tutaj wznosi się czwarta śluza kanału. Na 13 śluzie — Kałacz. 23 listopada 42 r. armie frontu dońskiego, po sforsowaniu Donu i zajęciu Kałacza łączą się z armiami południowymi. Wojska niemieckie zostały otoczone. Na całym więc szlaku bitewnym Stalingrad — Kałacz, Wołga-Don rozpościera się teraz *pomnik zwycięstwa*, w którym *„można oglądać krajobraz jutrzejszego dnia!"*.

Kanał Wołga-Don połączył w systemie rzek i kanałów radzieckich pięć mórz: Bałtyckie, Białe, Azowskie, Czarne i Kaspijskie.

Na Wołgę poprzez Stalingrad popłyną potoki donieckiego węgla i metalu, dońskiego i północno-kaukaskiego zboża, ryb azowskich, rudy manganowej, owoców i konserw. Na Don poprzez Stalingrad popłyną nieprzerwanym potokiem budulec, chemikalia, samochody, traktory, papier, nafta.

Powstaje na trzeciej kaskadzie Hydrowęzeł kujbyszewski i wreszcie najniższy stopień kaskady wołżańskiej — *Stalingradzka Elektrownia Wodna*. Kujbyszewska i Stalingradzka dostarczą 10 razy więcej energii elektrycznej, niż wszystkie elektrownie Rosji przedrewolucyjnej, dostarczą jej tyle, co wszystkie elektrownie Włoch, Szwajcarii i Szwecji.

Linie przemysłowe idą od Stalingradu do Moskwy i do centralnych obwodów: saratowskiego i astrachańskiego. Zroszone zostaną ziemie Zawołża, Niziny Sarpińskiej, Czarnych Ziem i Stepu Nogajskiego. Przeobrażono ogromne obszary Powołża i Niziny Nadkaspijskiej.

✻

Krajobraz stalingradzki... huczy teraz Morze Cymliańskie, gdzie dotąd rozciągał się step pustynny. Nad jego brzegi, powyżej Kotielnikowa dotarła armia Mannsteina, idąca na odsiecz Paulusowi. Widziała wówczas śnieżny tylko step. Odrzucono ją aż na Salsk, dokąd dociera już dziś nawadnianie. Za Morzem Cymliańskim rozciągają się pasy leśne. Za nimi górny bieg Czyru i Millerowo. Tam wojska radzieckie opasały na zapleczu armię hitlerowską. Idąc dalej na zachód, dotrzemy do Kachówki nad dolnym Dnieprem. Dotrzemy do budującego się olbrzymiego zbiornika wody (21 miliardów m. sześc.). To dzieło przekreśli w południowej Ukrainie suchowieje i posuchy, a było ich w ostatnich 63 latach — 22.

Oto perspektywa stalingradzka na zachód. Oto na południe — gdzie buduje się Kanał Turkmeński na pustyni, najdłuższy na świecie — 1100 km. Ożyje blisko 9 milionów hektarów ziemi. Nad Morzem Kaspijskim zrosi się i nawodni 13 milionów ha — obszar wiekszy niż całe terytorium Danii, Belgii i Holandii.

Swift pisał w „Podróżach Guliwera" — „Człowiek, który zdołałby wyhodować dwa kłosy na miejscu, gdzie dawniej rósł jeden, zasłużyłby na wdzięczność całej ludzkości".

Na XIX Zjeździe KPZR postawione zostało (między innymi) zadanie już nie wyhodowania 2 kłosów, ale 3-ch tam, gdzie dawniej rósł jeden. Taka jest perspektywa krajobrazu stalingradzkiego na ziemiach Zawołża, Niziny Sarpińskiej, Stepu Nogojskiego i Niziny Nadkaspijskiej.

Oto skala olbrzymich budowli komunizmu.

✻

Piotr Kondraszow przeszedł cały bojowy szlak od Stalingradu do Berlina. Swojemu polskiemu towarzyszowi broni przyrzekł: „Po wojnie odbudujemy razem z Wami Waszą stolicę". Dziś Kondraszow buduje *w Warszawie Pałac Kultury i Nauki*.

Oto krajobraz stalingradzki...

Jeżeli we Francji, czy we Włoszech ludność głosuje na komunistów, to w znacznej mierze dlatego, że wie, czym był Stalingrad. Jeżeli nieustannie potężnieje na całej kuli ziemskiej zorganizowana walka narodów o pokój, to właśnie dlatego, że ludzkość nie pozwoli sobie bezkarnie wydrzeć daru pokoju, zdobytego pod Stalingradem przez Żołnierza - Oswobodziciela.

**Andrzej Kowara**

Foto WAS

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

## NAJWIĘKSZA Z OFENSYW

**Tobie pieśń ta, republiko wolnych**
**Gdzie stulecie i chwasty ziem ornych**
**Dłoń usuwa jak zmarszczki na twarzy,**
**Gdzie dojrzała brzoskwinia na śniegu**
**Pnie się w blasku i uczy nas marzyć,**
**Że jest słońcem, co stopić chce kręgi**
**Mroźnej nocy polarnej i biegun**
**Aż po bezkres człowieczej potęgi.**
**Nad polami szły wiatry stepowe,**
**żar syciły zielonym zagonem**
**i chyliły dziesiątki lat głowę**
**nędznym chłopom jak drzewa spalone.**
**Rewolucja sięgnęła rubieży,**
**choć jak ugór nie łatwo wieś ruszyć,**
**teraz stawia jak armię żołnierzy**
**las wysoki, by bronił od suszy.**
**Gdzie kamienne milczenie zawisło**
**Gór Turgajskich, uderza dzwon wody**
**i kołysze powietrzem, by przyszłość**
**dała słodkie rumiane ogrody.**
**Tu z owocu odczyta się miłość**
**czarne dni odrzucając jak pestki**
**i nachyli się ręką troskliwą**
**gałąź, wiodąc krok dziecka do ścieżki.**
**Imperializm podrzucić chce głownie**
**rozżarzone i znów grozi nocą,**
**ale biją w ten mrok elektrownie**
**nadwołżańskie, gdy światło z wód toczą.**
**One dadzą energię kombajnom,**
**ludziom pewność, że moc milionowa,**
**która czyni tu rzecz urodzajną,**
**także wroga zdruzgotać gotowa.**
**Myśl wcielona, wódz sławnych ofensyw,**
**mądry Stalin nad mapą ojczyzny**
**dziejom świata przyśpiesza kształt przyszły,**
**mówiąc ludziom i ziemi: rwij więzy!**
**Pochylony w troskliwej zadumie**
**nad historią — przez szlak pobojowisk —**
**wiedzie lud z socjalizmu w komunizm,**
**gdzie najbardziej szczęśliwy jest człowiek.**

JAN JÓZEF LIPSKI

# Próba wyjścia z błędnego koła[1]

*Ocena tomiku, który jest przecież najnowszym ogniwem w łańcuchu dwudziestoletniej twórczości, nie może być sprawiedliwa, jeśli nie uwzględni drogi przebytej dotychczas przez poetę. Łagodniej, być może, należy sądzić pisarza, którego cała przeszłość upłynęła na daremnym szukaniu drogi wśród manowców — jeśli w końcu dostrzegł wyjście z nich i zmierza ku niemu, chociaż wśród ciągłych oglądań się wstecz i nawrotów. Mniej łagodnie, być może, trzeba będzie przyjąć łatwą rezygnację ze słusznej ambicji łamania się z trudnościami poetyckiej materii, (choćby nawet rezygnacja ta dokonywała się w imię rzekomej troski o ideologiczną dojrzałość) — zwłaszcza jeśli dotychczas poeta był ambitny nawet w błędach.*

*Międzywojenna twórczość Kozikowskiego była właśnie błądzeniem po manowcach burżuazyjnej ideologii — i zarazem nie brakło jej ambicji wyjścia poza nie, poza ich ciasnotę i fałsz, poza całą tę beznadziejną iluzoryczność ruchu, rozwoju, postępu, nowatorstwa. Trzeba jednak stwierdzić, że ówczesna postawa Kozikowskiego zawierała pewne zalążkowe przesłanki późniejszego ewentualnego przełomu i że sprawiedliwie jest widzieć go na tle ówczesnej sytuacji raczej wśród buntujących się choć zdezorientowanych — niż wśród świadomych kowali burżuazyjnej ideologii, burżuazyjnych poetyk.*

*Te wykolejone ambicje buntu i przełomu dostrzega się w „Tęsknocie ramy okiennej" (1922) i „Końcu Hortensji Europy" (1925). Okres lat 1917/18—1923 zaktywizował politycznie całą prawie ówczesną literaturę. Wielka fala rewolucji, zaczętej w Petersburgu i Moskwie, przetoczyła się przez całą Europę. Mało pozostawało wówczas miejsca na kompletną ucieczkę od rzeczywistości. Realiści tworzą dzieła, które na stałe pozostaną wśród ich szczytowych osiągnięć — antyrealistyczni ideologowie burżuazji muszą wysilić się na maksimum pseudorewolucyjnej demagogii. Są to lata koniunktury dla ekspresjonizmu. Wśród pisarzy, zwabionych jego frazeologią, hiperboliczną poetyką pozoru — znaleźli się na marginesie prądu, ratując mimo wszystko bardzo wiele ze swych postępowych intencji — Tuwim, Słonimski — i Kozikowski. Obok apokaliptycznych wizji kosmicznej katastrofy w „Na wieży" i w „Czarnej wiośnie", w „Wiośnie" i w „Wieży Babel" — znalazł się wiersz „Koniec Hortensji Europy", obok „Mebli" i „Chusty Weroniki" — „Taniec ryby w koszyku". Trójek takich układać można więcej — i bytyby to podobieństwa nie przypadkowe. Wszystkie te utwory cechuje irracjonalne przerażenie potwornością stworzonej przez imperializm cywilizacji, oczekiwanie na jakąś straszliwą katastrofę, wreszcie poczucie tragicznej samotności człowieka, który nie umie w tym chaosie znaleźć swego miejsca.*

*Okres „Czartaka", ucieczka w świat sfałszowanego prymitywu ludowego, fideizmu i rzekomej prostoty — nie był na pewno postępem. Na powstanie tego kierunku złożyło się wiele przyczyn, leżących w sferze przemian społecznych i politycznych. Nie tu miejsce na ich wyliczanie. Wydaje się jednak, że obok przyczyn ogólnych i rozstrzygających nie bez znaczenia był i czynnik bardziej indywidualny: „Czartak" dawał przejściowe złudzenie, że tędy wiedzie droga do przezwyciężenia indywidualistycznych wynaturzeń ekspresjonizmu, które — o dziwo! — stworzyły niezrozumiałą na pozór powtarzalność ujęć, podejrzaną monotonię ideowo-artystyczną. Oczywiście, był to tylko pozór przezwyciężenia. Ale nawet stąd można było znaleźć drogę wyjścia, jak wskazuje przykład przedwcześnie przerwanej linii rozwojowej Zegadłowicza. Kozikowski nie prędko znalazł swoją właściwą drogę. Na długie lata zatrzymał się na etapie „Wymarszu Świerszczów" (1925), wracając po części do swego symbolicznego punktu wyjścia. Szansę wyjścia poza krąg zakreślony treścią „Płomyka świecy (1920) — i tomików pt: „W towarzystwie wierzby" (1929) oraz „Pięciokłos" (1937) przyniosła Kozikowskiemu rzeczywistość Polski Ludowej. O ile Kozikowski z tej szansy skorzystał, o ile udało mu się wyjść z zaklętego koła, w jakim stopniu jego ideowo-artystyczna wrażliwość potrafiła odczuć odrębność i wielkość nowego czasu, nowych ludzi, nowego stylu?*

*W każdym razie poeta nie pozostał obojętny na wielkie wyzwanie, rzucone poezji przez naszą epokę. „Mowa ludzka" jest niewątpliwie dokumentem decyzji podjęcia tego wyzwania, próbą sprostania jego wymaganiom. Widać to choćby w podjęciu nowej, aktualnej problematyki: odbudowa kraju, budowa socjalizmu, walka postępowych działaczy Zachodu z wzrastającą faszyzacją życia politycznego i kulturalnego w ich ojczyznach, Korea — zajmują większą część tomiku. Autor, świadom, że aktualna tematyka nie może jeszcze zdecydować o ideologicznym zwycięstwie — podjął jednocześnie walkę z obciążeniami, otrzymanymi w spadku po swej poetyckiej przeszłości. Tylko na tej drodze mógł osiągnąć pełną zgodność ideologicznych intencji z ostateczną ideowo-artystyczną wymową dzieła. Ale tu, niestety, spotkało go niepowodzenie. Zarejestrujemy jego objawy zanim postawimy diagnozę.*

*Obawa przed zabrnięciem raz jeszcze w labirynty przesadnej, niekomunikatywnej, pozbawionej treści poznawczych metaforyki — skojarzyła się tu ze zrozumieniem niebezpieczeństw, jakie otwiera niedosłowny tryb formułowania wiedzy o świecie przed poezją, która dopiero pragnie osiągnąć minimum ideologicznej dojrzałości. Obawy te nie zasługują na lekceważenie — metaforyka bynajmniej nie jest łatwa do ideologicznej kontroli — a krytyka nasza wciąż jeszcze mało poświęca uwagi jej ideologiczno-poznawczym walorom i niebezpieczeństwom, pozostawiając tę dziedzinę prawie bez reszty artystycznej intuicji twórców. Jedni dają sobie radę z tymi problemami bez trudu — inni, pozbawieni teoretycznego oparcia — błądzą.*

*Wśród tych utworów ostatniego tomiku Kozikowskiego, które znajdują się wciąż jeszcze po symbolistycznej stronie przełęczy — łatwo rozpoznać te właśnie, w których autor zawierzył raz jeszcze starym tropom. Wiersz „Utrudzonym wędrowcom" może służyć za przykład zamazywania walorów treściowych przez niekontrolowany czujną świadomością ideologiczną dobór środków artystycznych. Z kontekstu tomiku można się mniej więcej domyślać, że „utrudzeni wędrowcy" — to ludzie, którzy nie mogą dogonić historii, ludzie, którzy „nie chcą słuchać", „w uporze swym trwają jak grzyby w mchów ciepłe". Temat godny podjęcia — ale jego rekonstrukcja odbywa się tu na własne ryzyko recenzenta, gdyż autor pozwolił zapanować fałszywym urokom pozornie zautonomizowanej metafory, nie bacząc, że w natłoku zmitologizowanych obrazów gdzieś mu ginie jednocześnie historyczny, humanistyczny sens obrazu:*

*„Podkurczywszy pod siebie nogi będą marzyć*
*o ziemiach złotodajnych nieznanej Kolchidy*
*i błysk szczęścia ożywi pomarszczone twarze*
*i wyciągną ramiona jak dzieci — do dni tych".*

*Wreszcie w ostatnich linijkach uleganie pozorom niezaangażowania metaforyki i obrazów w konstytuowaniu ideologii wiersza — doprowadzi do rezultatów bezpośrednio już światopoglądowych, do zarysowania jakiejś fałszywej, pesymistycznej koncepcji losów ludzkich:*

*„podniosą się z barłogów i prostując kości*
*powloką się w mrok nocy, odejdą na nowo,*
*by szukać i nie znaleźć, i wszystkim zazdrościć".*

*Jeśli tak szeroko analizuję ten wiersz, to po to, by pokazać, że obawy Kozikowskiego wobec przerostów metaforyki były słuszne, szczególnie, gdy wziąć pod uwagę całą jego poetycką przeszłość. Ale poeta poszedł na ogół po linii najmniejszego oporu i najmniejszej skuteczności: postanowił wylać wraz z mętną wodą metafizyki również tę swoistą i niczym nie zastąpioną odrębność, jaką daje literaturze piękna sztuka poetyckiego słowa, wypracowana w niemałym trudzie pokoleń. Ograniczył więc do minimum metaforykę (wprowadzając co prawda na jej miejsce bezpieczniejszy w opanowaniu tryb porównawczy) — banalizując ją jednocześnie i odbarwiając.*

*Można rzec: odwrócił się do niej plecami, lekkomyślnie dopuszczając jej zwyrodnienie w nonsensy i sztampę. Nonsensy, wykroczenia przeciw logice przenośni — to „trudu kierat", który „wrósł w karki niczym szleja" (autor chyba nie wie, co to znaczy „kierat"?) — to „strychulce równości", którymi „prostuje się ścieżki" (autor chyba nie wie, co to znaczy „strychulec"?) Banalizmy natomiast zaprowadziły autora tam, skąd chciał się wydostać, to znaczy do Młodej Polski, i to w dodatku tej „gorszej" Młodej Polski: „Nic marzeń przyść" (s. 10) „szeptać uwodnie" (s. 15) „Noc stąpa na koturnach jak aktor" (s. 19) „Dzieje ruin... snują przędzę opowieści" (s. 25) — oto najbardziej jaskrawe przykłady przejęcia niedobrych wzorów.*

*Tu czas już chyba na diagnozę. Właściwie została już ona prawie postawiona w wstępie analizującym wiersz „Utrudzonym wędrowcom". Większość potknięć poety w „Mowie ludzkiej" płynie z nieztozumienia jedności formy i treści, czy też może raczej z rozumienia tego na mechanistyczną modę, co ostatecznie na jedno wychodzi. Stąd operacje amputacyjne nad „formą" dla ratowania „treści" — podczas gdy właściwe postawienie problemu polega na znalezieniu dla treści jej własnej, adekwatnej formy. Mamy tu więc do czynienia z częstym chyba przypadkiem ideologicznej niedojrzałości, z etapem, na którym rozumienie rzeczywistości przez artystę jest jeszcze sztywne, schematyczne, dyskusyjne, nie jest jeszcze dość bogate, by wyrazić się artystyczną pełnią realizmu.*

*Trzeba jednak przyznać, że w wielu wierszach autor znacznie wyszedł poza zdawkową deklaratywność, taką, jak np. w wierszu „Jedno słowo"... Nie jest chyba przypadkiem, że najbliższy był przezwyciężenia własnych błędów właśnie w wierszach będących manifestacją solidarności z bohaterami walki o pokój: Howardem Fastem, Nazimem Hikmetem, Julienem Lahaut. Tu właśnie, mimo niedociągnięć autora, czytelnik czuje się rozgrzany lirycznym ciepłem uczucia, tu też najwyraźniej czuje obecność jakiejś wielkiej sprawy, rozgrywającej się między poetą a epoką, której chce on sprostać.*

*Niestety, tomik „Mowa ludzka" nie jest wybitnym wydarzeniem w naszej dzisiejszej poezji — choć nie pozostaje też daleko w tyle poza jej przeciętną stawką. Ale krytyka powinna mu poświęcić wiele uwagi, przede wszystkim dlatego, że po Kozikowskim możemy się spodziewać czegoś więcej, choć to może dziwnie brzmi w zastosowaniu do pisarza, który ma za sobą trzydziestokilkoletnią przeszłość twórczą. Czy autor, który już w tej chwili dużo przezwyciężył, nie zatrzyma się w swym ideowo-artystycznym rozwoju, czy upora się jeszcze i z tymi błędami, o których tu mowa, to zależy w dużej mierze od tego, czy spotka go pomoc i zrozumienie — czy obojętność.*

*Jan Józef Lipski*

[1] Edward Kozikowski. — Mowa ludzka. Warszawa, 1951. „Czytelnik", str. 45 i 3 nlb.

JERZY WACZYŃSKI

# WRÓG WOLNOŚCI I POSTĘPU

Kuria liczyła na zmianę ustroju w drodze konfliktu wojennego." Zdanie to przewija się w ustach księży, świadków i oskarżonych w procesie krakowskim i najlepiej charakteryzuje dążenia zarówno kurii, jak i episkopatu, a także i przede wszystkim — Watykanu.

Wszystko odbywało się początkowo doś sprawnie. Księża-szpiedzy zbierali materiały od ludzi gadatliwych, którym widok sutanny kojarzył się z pojęciem dobra, z Bogiem, z uczciwością. Ci księża kupowali bajki dla dzieci i między wierszami wypisywali sympatycznym atramentem informacje szpiegowskie. Książki te wysyłali pocztą (bo to przecież niewinne bajeczki) do ośrodka szpiegowskiego w Niemczech zachodnich. Inne informacje, grubsze informacje, przewoził sam kardynał Sapieha w bagażach, które nie podlegały rewizji celnej. Całą walizę tych arcyciekawych dla Pentagonu materiałów zawiósł kardynał do Rzymu, gdy jechał po kapelusz kardynalski.

Postępowanie episkopatu i kurii krakowskiej znajdowało dolarowe i moralne poparcie w Watykanie, który łamiąc zasady etyki chrześcijańskiej ukazuje raz poraz oblicze wroga wolności i postępu.

Dowody tej wrogości składa często sam Pius XII w swych, przemówieniach i listach. Każdy taki dokument tchnie nienawiścią do Związku Radzieckiego, do Polski, do wszystkiego, co — mówmy otwarcie — nie daje Stolicy Apostolskiej namacalnych korzyści.

„Kościół nie miesza się do spraw czysto politycznych" — wołał Pius XII przemawiając do ludu rzymskiego 20 lutego 1949 roku. Zapomina, że 3 lata wcześniej powiedział coś wręcz przeciwnego proboszczom włoskim: „Kościół katolicki nie pozwoli nigdy zamknąć się w czterech ścianach świątyni".

Gdzieś tu jest obłuda, gdzieś jest kłamstwo i to kłamstwo na pozór niepospolite, bo szyte nićmi samego ojca św. Inaczej mówił Pius XII do ludu, inaczej do proboszczów. Oczywiście okłamany został lud, a włoscy proboszczowie otrzymali po prostu instrukcje dla swej działalności. Tak więc namiestnik Chrystusa skalał swe imię zwyczajnym, brudnym oszustwem, obliczonym na wprowadzenie w błąd włoskich mas pracujących. Ale ludzie ci i tak doskonale znają prawdę, prawdę o papieżu-multimiliarderze oraz nagich i bosych, umierających z głodu dzieciach robotniczych. Masy te doskonale wiedzą, że Watykan jest ich nieprzejednanym wrogiem.

Pius XII nie waha się użyć religii jako oręża w rozgrywkach politycznych. W okresie wyborów we Włoszech, rozwinął całą ofensywę, by przysporzyć głosów Chrześcijańskiej Demokracji. Zgodnie z instrukcją papieską proboszczowie wołali z ambon włoskich kościołów:

„Nazajutrz po zwycięstwie czerwonych wszystkie kościoły zostaną spalone, księża wymordowani, raz po raz odbywać się będą masakry katolików. Mało tego, wasze żony, siostry i córki będą chodziły nago po ulicach. Jest tylko jeden sposób ratowania zagrożonej moralności — głosować na Chrześcijańską Demokrację".

Zabrał głos i sam papież:

„Wstrzymywanie się od głosowania — niech wszyscy o tym dobrze wiedzą — jest ciężkim, śmiertelnym grzechem".

A więc nie miesza się do polityki? Czy też wyszedł jednak „z czterech ścian świątyni".

W obronie kapitalizmu i napaściach na socjalizm Pius XII jest konsekwentny. Posłuchajmy, co mówi o bankach w krajach kapitalistycznych i handlu w kraju socjalistycznym.

„Działalność waszego banku (Banco di Napoli) będzie przyciągać błogosławieństwo Boże dla wszystkich waszych interesów i waszych różnorakich przedsięwzięć.

I dalej:

„Są nawet takie kraje, w których doszło do skoncentrowania całego handlu w rękach władzy publicznej. Stwierdzamy wyraźnie: jest to tendencja przeciwna chrześcijańskiej koncepcji ekonomiki społecznej. Zasadniczo bowiem handel jest sprawą prywatną"...

Jasno i wyraźnie.

Papież mówi zupełnie bez osłonek:

„Uczynienie z upaństwowienia środków produkcji zasady dla publicznej organizacji gospodarki byłoby wywróceniem porządku rzeczy".

Istotnie, tu przyznajemy słuszność, byłoby wywróceniem kapitalistycznego porządku.

„Gospodarka z natury rzeczy nie jest sprawą państwa; przeciwnie, powinna być żywym wytworem wolnej inicjatywy jednostek i swobodnie tworzonych grup. Właściciel środków produkcji, kimkolwiek jest, powinien zawsze pozostać panem własnych decyzji ekonomicznych. I jest rzeczą samo przez się zrozumiałą, że jego dochody powinny być wyższe od dochodów jego pracowników".

A więc wyraźna pochwała kapitalizmu, pochwała zróżnicowania klasowego, pochwała nędzy jednych i bogactwa drugich, słowem — apologia nierówności społecznej.

Wypowiada się również papież na temat reformy rolnej. Po cóż chłopom ziemia na własność, skoro ją mogą dzierżawić, lub zdychać z głodu, gdy nie są w stanie spłacać czynszu dzierżawnego. Ostatecznie — zawsze przecież mogą być parobkami.

„Reforma stosunków własnościowych i kontraktów dzierżawnych w rolnictwie (włoskim) byłaby zbędna i szkodliwa zwłaszcza dziś". „To grzech pierworodny uczynił pracę na roli tak ciężką".

„Marksizm wpadł w przesadny kult techniki i uprzemysłowienia".

Zatem nasze wszystkie dążenia do uczynienia ludzkiej pracy lżejszą, zautomatyzowane fabryki, w których człowiek tylko dozoruje maszyny, uprzemysłowienie kraju, stwarzające dobrobyt narodu — wszystko to jest dla Piusa XII zwykłym przesądem.

„Przesądem" jest także i rewolucja, skoro Pius XII tak często wznosi modły, aby nie nastąpiła, by skarbiec watykański mógł nadal bez żadnych przeszkód napełniać się kosztem mas robotniczych.

„Błagamy Najświętsze Serce Jezusa, aby zamknęło wasze uszy na doktryny, które głoszą rewolucję". „Uczciwy robotnik nie może pragnąć polepszenia swoich warunków przez zdeptanie wolności drugiego człowieka (własności prywatnej J. W.), która powinna być dla niego świętą".

Natomiast każdy kapitalista — zdaniem ojca św. — może zedrzeć ostatnią koszulę z ramion robotnika, może zdeptać wolność innego człowieka, która jest dla kapitalisty niczym. Chcąc ułatwić kapitalistom zadanie papież usilnie zwalcza związki zawodowe, widząc w nich śmiertelne niebezpieczeństwo dla zysków kapitalisty:

„Oby Bóg zechciał sprawić, aby rychło nastąpił dzień, w którym przestaną funkcjonować te organizacje".

*

Stojąc otwarcie w obozie wojny, w obozie krwi i mordu, Pius XII nie ukrywa swych proamerykańskich sympatii, widząc najlepszy dla siebie interes w światowym panowaniu bloku amerykańsko-niemieckiego. Gdy Truman dążył do wojny, gdy zaczepnie wymachiwał bombą atomową, Pius XII wysłał do niego 26 sierpnia 1947 roku odręczny list, w którym pisze:

„Nikt bardziej niż My nie życzymy Waszej Ekscelencji sukcesu, a dla pomyślnego osiągnięcia Pańskiego celu stawiamy Panu do dyspozycji Nasze środki i gorąco błagamy Boga o pomoc".

Jakież to środki papież oferuje Trumanowi, w czym wyraża się watykańska pomoc? Już w 1945 roku amerykański miesięcznik „Fortune" zamieścił artykuł biskupa Ryana reklamujący aparat wywiadowczy Watykanu, jako „najlepiej poinformowany" na świecie. Ryan wskazywał możliwości wykorzystania watykańskiej sieci szpiegowskiej przez Stany Zjednoczone dla przygotowania nowej wojny. 11 października 1950 roku „Associated Press" — jedna z największych amerykańskich agencji prasowych — podała, że

„ponad 3 000 arcybiskupów i biskupów i 300 000 księży stanowią trzon systemu szpiegowskiego, którego agenci wysyłają, często ukrytymi i tajemnymi drogami swoje sprawozdania do Rzymu". Sprawozdania te dotyczą „spraw politycznych, gospodarczych i bezpieczeństwa publicznego".

W dzienniku „New York Times" ukazał się w lecie 1950 roku artykuł, którego autor zapowiadał „inwazję kleru na obszary komunistyczne". Jednocześnie artykuł donosił o założeniu w klasztorze franciszkańskiej misji „Santa Maria Angelica" koło miasta Stamford w stanie Connecticut ośrodka szkoleniowego szpiegowsko - dywersyjnego dla duchownych katolickich.

Szkolenie wywiadowców w sutannach odbywa się również w kilku instytucjach papieskich. „Papieskim Kolegium do Spraw Rosyjskich" kieruje jezuita Philip de Regy, a wśród wykładowców znaleźć można nawet byłego SS-mana płk. Hauf. Absolwenci szpiegowskiego kolegium są kierowani do krajów demokracji ludowej nie jako księża, ale jako osoby świeckie. Podobne zadanie ma „Papieski Instytut Wschodni", oraz „Instytut Węgierski". Również jezuici specjalizują się w kształceniu szpiegów. W Mediolanie i Wenecji istnieją roczne kursy, na których szkoli się księży i braci zakonnych na radiotelegrafistów i specjalistów w dziedzinie szyfrów. Takimi środkami pomaga Pius XII w przygotowywaniu nowej wojny światowej.

Organizując krucjatę przeciwko ZSRR, Watykan pragnie skierować jej ostrze również przeciwko Polsce, która zawsze była tam traktowana z wrogością. Papież nie darzy sympatią nawet tych Polaków, którzy z marksizmem nie mają nic wspólnego. Wyznając teorię rasizmu, Pius XII traktuje Słowian jako niższą rasę, która nie ma prawa samodzielnej egzystencji. Jeszcze jako kardynał Pacelli, pełniąc w Niemczech przez 12 lat funkcję nuncjusza papieskiego, oświadczył, że

„Milionową rzeszę Polaków w Niemczech należy zgermanizować, a w każdym razie nie należy jej germanizowaniu przeciwdziałać".

Zniemczony Pius XII, którego w kołach watykańskich nazywają „Il Tedesco" (Niemiec) szczególną sympatię okazywał hitlerowcom podczas ostatniej wojny. Gdy gestapo mordowało w Polsce, Związku Radzieckim i wielu innych krajach miliony bezbronnych ofiar, Pius XII udzielał audiencji oficerom i żołnierzom niemieckim. Sam zresztą wspomina w przemówieniu do gwardii szlacheckiej 1 stycznia 1945 roku:

„Przyjmowaliśmy z miłością, dopóki wolno im było do nas przychodzić, synów tego narodu, wśród którego spędziliśmy długie lata płodnej pracy".

A kiedy ujawniono wszystkie zbrodnie hitlerowskie i narody domagały się sądu nad mordercami, Pius XII mówił: „Na cóż nam się przyda wiedzieć, kto ponosi odpowiedzialność". Karanie ludzi, to „uzurpowanie sobie praw Boga". I gdy przed sądem polskim stanął Artur Greiser, kat narodu polskiego, papież (choć zerwał konkordat i nie istniały normalne stosunki dyplomatyczne), polecił przekazanie ambasadzie RP w Rzymie noty dyplomatycznej następującej treści:

„Pan Artur Greiser, skazany na śmierć, prosił telegraficznie Jego Świątobliwość o interwencję w sprawie ułaskawienia go. Pan ten jak wiadomo był zaciętym wrogiem kościoła i prześladował go rządzonym przez siebie Warthegau. Mimo to Jego Świątobliwość, biorąc przykład z Boskiego Mistrza, który modlił się na krzyżu za tych, co Go ukrzyżowali, przychylił się do prośby skazańca i w związku z tym zwraca się do kompetentnych władz z ojcowską prośbą, aby wymienionemu skazańcowi zstało oszczędzone życie".

Broniąc hitlerowskich zbrodniarzy prowadzi jednocześnie Watykan ostrą kampanię przeciwko granicy na Odrze i Nysie. Klasycznym pozostanie tu list do biskupów niemieckich z 1 marca 1948 roku, list, którego celem było pobudzenie wszystkich rewizjonistów i szowinistów niemieckich nie dość śmiało podnoszących głowę po klęsce hitleryzmu.

„Mówimy do was wszystkich, szczególnie jednak do uchodźców ze wschodu słowami św. Piotra: „Skłońcie się w pokorze pod potężną dłonią Boga, by wysłuchał was w swoim czasie. Złóżcie na Niego wszystkie swoje troski, ponieważ On ujmie się za wami".

Nawołując zaś do rewizji naszych granic bez pomocy Boga papież pyta:

„Czyż jest to nierealne, jeżeli życzymy sobie i wyrażamy nadzieję, by wszyscy zainteresowani mogli spokojnie rozpatrzeć to, co zostało dokonane i cofnąć w tej mierze, w jakiej da się to jeszcze cofnąć?"

Jakże aktualne stają się słowa Mickiewicza, który pisał w „Trybunie Ludów":

„Lud, który walczy o swoją niepodległość albo o rozszerzenie swoich swobód, powinien nie ufać wysokim dostojnikom Kościoła".

**Jerzy Waczyński**

KLEMENS OLEKSIK

# Zmartwienia Ojca Ekonoma

Rys. St. Gierowski

KSIĄDZ Ochocki nie często jednak zjawiał się na wspólnych modlitwach. Odmawiał swój brewiarz błądząc po parku całymi godzinami, spóźniał się na obiad, ponieważ jednak jego obowiązki były mało związane z normalnym planem zajęć w klasztorze, Ojciec Prowincjał nie udzielił mu nigdy nagany, mimo bardzo już widocznych starań w tym kierunku Ojca Magistra. Pewnego razu na zbyt już natarczywe nalegania O. Prowincjał zapytał:

— A więc jak sobie wyobrażasz, Ojcze, pracę redaktora? — Czy można nakazać, aby w określonym czasie pisał swoje artykuły, a co znacznie trudniejsze — swoją książkę?

— Nie dałbym ani szeląga za to, że O. Redaktor w ogóle pisze tę książkę — wyrwało się przełożonemu nowicjatu.

— Sądzisz, Ojcze?

— Hm, hm — wzruszył gniewnie ramionami olbrzym. — Czy ja sądzę? Twierdzę. Twierdzę i radziłbym wam, Ojcze Prowincjale, bliżej zainteresować się jego pracą.

Z kłopotu wybawił prowincjała Ojciec Ekonom, który był obecny przy tej rozmowie i który lubił żartować z surowości O. Magistra.

— Czy ja mogę wygłosić swoje skromne zdanie? — zapytał.

Pytanie to, ze złośliwym uśmieszkiem skierowane było najwyraźniej w stronę Ojca Magistra, olbrzym więc przytaknął szorstko, niemal ze złością:

— A mówże, ojciec, przecież nie jesteśmy w szkole, żebyś musiał rękę do góry podnosić.

O. Ekonom skłonił się z uśmiechem: — Dziękuję nasz surowy Goliacie... Otóż moim skromnym zdaniem należałoby w imieniu nas wszystkich złożyć Ojcu Redaktorowi specjalne podziękowanie, a nie naganę

— A Ojciec może chcesz być delegatem — wtrącił z widoczną już niecierpliwością Magister. - To bardzo prosimy. Ale za cóż to chciałbyś, Ojcze Ekonomie, dziękować księdzu Ochockiemu?

— Otóż to właśnie chcę powiedzieć Pierwszy powód: Nasz „Posłaniec" przynosi nam miesięcznie 3.000 złotych. Sama prenumerata, proszę o tym pamiętać! Okładka z podziękowaniami — do dwóch tysięcy złotych, a bracia, którzy jeżdżą z prenumeratą zbierają również ofiary na Fundusz Mszalny, który...

— Ależ co to ma wspólnego z pracą księdza Ochockiego?

— Przepraszam — zdziwił się szczerze O. Ekonom. — Ale ja z kolei nic nie rozumiem!

— To jasne, bo wy, Ojcze Ekonomie, zajmujecie się tylko sprawami materialnymi...

— Po to — wpadł mu w słowa O. Ekonom — abyś ty, Ojcze Magistrze, mógł troszczyć się o sprawy ducha.

— Wszak, nasz założyciel powiedział, że świętość przechodzi przez żołądek — wtrącił Prowincjał bardzo zadowolony z odprawy, jaką dał surowemu ascecie O. Ekonom

Na wszelki wypadek jednak dodał:

— Oczywiście, macie rację, Ojcze Magistrze, ksiądz Ochocki, zbyt często chodzi swoimi drogami i postaram się wpłynąć na niego, żeby więcej podporządkował się regule.

*

Z Łobzowa w stronę Górki truchcikiem biegną dwa konie ciągnące bryczkę. — Czyżby Roman powracał z miasta? Ojciec Ekonom nie poznaje jednak swoich koni. Jest krótkowidzem, na taką odległość trzeba mieć bystrzejsze, niż jego, oczy Marszczy brwi, a potem wolnym krokiem, mijając schylonych na polu ludzi, idzie w stronę alei. Nie, to na pewno nie góreckie bułanki. Takie konie ma tylko w całej okolicy... No przecież: to stary Brosz z Sobkowic! Dziś jest pierwszy piątek miesiąca i stary pan jedzie do Górki, aby odbyć comiesięczną spowiedź. I oczywiście z nieśmiertelnym mirtem u boku.

— Witam dobrodzieja góreckiego — woła O Ekonom. — Cieszę się, że zawsze w zdrowiu.

— Jakoś Bóg łaskaw dla mnie — uśmiecha się starzec, odwzajemniając uścisk. — A ksiądz, jak widzę, dobrze gospodarujesz na góreckiej zagrodzie. Żytko piękne i w ogóle.

— Niejedna u nas dusza do wyżywienia — odpowiada O. Ekonom. — Trze' się starać.

— Dusza do wyżywienia! — Stary pan uderza się po kolanach i chichocze aż mu oczy zachodzą łzami. — A to doskonałe, dusza do wyżywienia. Nie, doprawdy, ksiądz mnie wzruszasz. Siadajże tu, księże Ekonomie, podwiozę cię do klasztoru.

Ale O. Ekonom musi jeszcze pozostać na polu.

— Zobaczymy się przecież przy obiedzie? Wszak zostaniesz dobrodziej u nas na rekolekcjach?

— Ma się rozumieć. Po to jadę, księże Ekonomie, po to jadę do was, jak do ożywczej krynicy Stary grzesznik ze mnie — i w ogóle.

Staruszek trzyma się jeszcze zupełnie dobrze, dotąd zachował pogodę ducha i humor. Klasztor uważa go za swego dobrodzieja, gdyż to on odnowił kaplicę przy studni na cmentarzu kościoła góreckiego i sprawił piękną statuę Matki Boskiej Prócz tego oddał z dzierżawę klasztorowi łąkę nad jeziorem, a co najważniejsze — zapomniał wspaniałomyślnie o dzierżawie. W księdze wieczystej Związku Mszalnego figurowało jego nazwisko obok Hrabiny jako wieczystego fundatora, o którym nigdy klasztor nie zapomni.

Ojciec Ekonom patrzy na bryczkę oddalającą się i ginącą wsród drzew parku Brosz siedzi na niej schylony lekko do przodu.

— Biegnij, Romanie, do brata Tomasza i powiedz mu, że dziś na obiedzie będziemy mieli gościa.

Wśród kobiet zatrudnionych przy pieleniu buraków stoi wysoki chłop z różańcem na szyi, z obrzymimi wąsami.

— Słuchajcie Stawarz — mówi jedna z nich, widząc zbliżającego się księdza. — Poproście przewielebnego ojca, żeby dał nam kartofli za robotę Nie mam w domu ani kartofelka.

— A cóż wy myślicie, siostro Rozalio, że klasztor ma za dużo kartofli? — woła podniesionym głosem Stawarz. Zresztą zapytam przewielebnego ojca... Muszę wam jednak powiedzieć, że grzeszycie łakomstwem, siostro Rozalio!

— Dobrze wam tak mówić, jak u was kopce są pełne. Gdybym miała taką gospodarkę jak wasza, to na pewno nie prosiłabym nikogo o nic przed żniwami.

— Cichajcie, mamo, bo ksiądz. — dziewczyna pieląca obok starszej kobiety pociąga ją za spódnicę

— A o czymże tak rozprawiacie, bracie Stawarzu? — zapytał O. Ekonom.

— A bo to siostra Rozalia chciałaby prosić waszą przewielebność o trochę kartofli.

— Nie macie już swoich, Suchocka?

— Wyszły co do jednego przewielebny ojcze. Muszę kupować.

— No cóż, kartofli i my mamy niewiele, ale coś wam mogę dać

— Nie trzeba, wielebny ojcze, ja odstąpię ze swoich — wtrąca nagle Stawarz. — Bóg zapłać za dobre chęci. Stawarz schyla się do ręki księdza, ale O. Ekonom odsuwa go łagodnie.

— Nie trzeba, bracie Stawarzu — mówi z uśmiechem. — Co też wam do głowy przychodzi.

Po odejściu O. Ekonoma Suchocka napada na Stawarza:

— I cóż wyście najlepszego zrobili? Przez was nie będę miała kartofli.

— Przecież słyszałaś, siostro, że dam ci ze swoich.

— Na odrobek — kobieta mruczy ze złością. — Wiem jaki z was dobrodziej.

— Bo ja myślę sobie, że zasłużyliśmy na większą nagrodę.

— Na jaką? — zainteresowały się kobiety.

— A jakbyśmy tak nasz dzionek przepracowany Bogu poświęcili na jego większą chwałę.

— Jakże to, ojcze różańcowy?

— Ano, powiemu ojcu przewielebnemu: Nie chcemy nic za robotę, niechaj będzie na chwałę boską. Poświęcicie nam pola na Matkę Boską Siewną.

— Przecież już były raz poświęcane — wtrąca jedna z nich.

— Święcona woda nigdy nie zaszkodzi — oświadcza surowym głosem Stawarz Baby nie mają zrozumienia dla rzeczy boskich Ojcowie są tacy dla nich dobrzy, a te ludziska... Et, szkoda mówić — pobożność ginie w narodzie. I jak to ma być dobrze na świecie, jeśli każdy jest tak łapczywy. — Wy, siostro Rozalio, powinniście świecić przykładem.

— Patrzcie, czym świecę — kobieta wskazuje na załataną spódnicę. — Kartofle mi są potrzebne Ja myślę, bracie Franciszku, że my i tak zasłużyliśmy na nagrodę. Pamiętacie, jużeśmy we żniwa...

— No, już dobrze, dobrze — przerywa Stawarz. Nie w porę wyjechała ze żniwami. Jeszcze gotowa przypomnieć sobie żniwiarkę, którą pożyczał z klasztoru. — Wasza wola. Ja tylko tak sobie powiedziałem

W tej chwili z klasztoru dobiegł głos dzwonka. Potem cienkim głosikiem odezwała się sygnaturka Stawarz zdjął czapę z głowy, odsłaniając świecącą, jak kopuła kościelna, łysą czaszkę, ukląkł:

— Anioł Pański zwiastował Pannie Marii... — rozpoczyna modlitwę i zerka na kobiety, ale one przeżegnawszy się tylko nie przerywają roboty. — ...I poczęła z ducha świętego — woła tonem niemal rozkazującym. Na nic jednak dobry przykład. Pobożność ginie w narodzie. Stawarz klęczy i stara się wytrwać na kolanach przez czas póki słychać głos sygnaturki. On wie, że w tym samym czasie, w kościele góreckim zakonnicy modlą się tak, jak on teraz. — Oto ja służebnica pańska...

— A podłożylibyście sobie jakiegoś wiechcia pod kolana, bo was reumatyzm złapie — odzywa się półgłosem młodsza. Stawarz rusza niecierpliwie wąsiskami, żeby nie przerywała, ale po chwili łapie garść chmieliny i podsuwa pod kolana. — A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami...

Zamaszyście żegna się, czyniąc olbrzymi znak krzyża i nie może powstrzymać się od udzielenia nagany siostrze z bractwa różańcowego.

**Klemens Oleksik**

ANDRZEJ SKIBA

# DWIE AMERYKI

*„To co jest dobre dla General Motors, dobre jest tym samym dla kraju". Sentencja Mr C. E. Wilsona, ex-prezesa największego koncernu USA (ponad 2 miliardy kapitału, ponad 400 tysięcy robotników), a obecnie amerykańskiego ministra wojny, stanowi cały program, wyznanie wiary, biblię i katechizm klasy rządzącej. Tej klasy, dla której — mówiąc słowami innego miliardera, prezesa Bethlehem Steel Corp., Eugene Grace'a — „patriotyzm jest wprawdzie pięknym uczuciem, ale musi ustąpić wobec obowiązków względem akcjonariuszy"; krócej: wobec klasy, która ma w ręku prezydenta i rząd, sądy i kościoły, wojsko, policję i prasę, a przede wszystkim miliardy.*

*Stanowi znikomą mniejszość, ale wzorem Ludwika XIV utożsamia siebie z narodem i państwem. Agencje całego świata donoszą o jej poczynaniach, prasa całego globu omawia jej plany i zamysły. Wypełnia sobą tragiczną scenę Ameryki, a wypełnia tak szczelnie, że chwilami odnieść można wrażenie, jak gdyby była tam jedynym czynnikiem aktywnym.*

*Ale jest i druga Ameryka. Ta, której władcy USA nigdy nie dopuszczają do głosu choć stale się na nią powołują. Milcząca potęga, która przemawia raz na pokolenia. Ale wówczas padają trony, przeobraża się oblicze kraju.*

*Naród.*

*Naród amerykański jest młody. Tak niedawno w większości swej był tylko pstrym zlepkiem różnych języków, różnych kultur i obyczajów! Tak niedawno zaludnił bezkresne obszary swego pięknego kraju. Zmienił się jego skład i zmieniło oblicze od czasu, gdy biorąc rozum ludzki na świadka, a wolę swą czyniąc źródłem prawa proklamował republikę, która miała być rządem ludu.*

*Nie zmieniło się jedno: umiłowanie wolności i gotowość do wszelkich dla niej ofiar. Groźba buntów farmerskich przekreśliła uchwalony już projekt reakcyjnej konstytucji. Fala wzburzenia wyniosła do władzy demokratę Jeffersona. A kiedy groza niewolnictwa stała się oczywista dla ogółu, Unia Amerykańska spłonęła ogniem, który strawił ze szczętem władztwo plantatorów.*

*Naiwny i niewyrobiony w swym zaściankowym odcięciu od reszty świata, a przez to politycznie ciemny, naród amerykański jest dziś ofiarą największego być może w dziejach oszustwa, zwanego „demokracją Stanów Zjednoczonych". Ułatwia je regionalizm i złudny pokost „amerykańskiego stylu życia"*

*Ale pod powierzchnią owej fałszywej polewy tętni prawdziwe życie prawdziwej Ameryki. Dzieją się rzeczy doniosłe — jak mówił Whitman — chociaż surowe jeszcze i ukryte. Naród amerykański żyje inną tradycją niż klasa, która nim rządzi. Czerpie ją z myśli rewolucyjnej, z lat ciężkiej, upornej walki o wolność. Naród — to nie burżuazja New Yorku z Brodwayem i tysiącem kin, to nie oportunistyczny urzędnik waszyngtoński, tęskniący do posad w bankach Wall Street. Naród — to robotnik czarnego Pittsburga, gdzie dymy i pył węglowy zżerają zdrowie, po roku. To farmer z Iowy, Kansas i Minnesoty, który tam wędrował z ojcem Lincolna i nadal bierze dosłownie lincolnowską formułę „rządów ludu, przez lud i dla ludu" To szewc, krawiec i kupczyk z małego miasteczka rugowany dziś zewsząd przez wielkie monopole.*

*Obyczaj tego narodu jest twardy, język szorstki, charakter nieustępliwy Długo potrafi milczeć, ale przemawia czynem — strajkiem, pochodem, demonstracją — i wówczas trwa jak mur. Peekskill, Chicago, port nowojorski, San Francisco — nigdzie się nie ugiął. Nie są to zresztą sami bohaterowie. Czasem, rzucając wszystko, podróżują setkę, czy tysiąc kilometrów, aby w stolicy państwa walczyć o życie skazanych niewinnie na śmierć. A czasem po prostu odmawiają katowskiej podróży do umęczonej ziemi koreańskiej*

*Przyrzeczono im pokój, likwidację wojny na Korei. Nawet w znanej powszechnie głupocie generała widzieć chcieli rękojmię uczciwego spełnienia obietnic. Trudno będzie ich nie dotrzumać. Trudno, a może i niebezpiecznie.*

*

*„Gdzie jest wróg? — wołał Wiktor Hugo w 1869 roku na Kongresie Pokoju w Lozannie. I odpowiadał: Wróg, to zarazem więcej i mniej niż człowiek. To całość faktów ohydnych, które ciążą światu i pożerają go. To potwór o tysiącu szponów, jakkolwiek jedną tylko ma głowę. Wróg to owo złowieszcze wcielenie starej zbrodni wojennej i monarchicznej (dziś monopole zastąpiły monarchię — AS), która nas knebluje i grabi, która kładzie rękę na nasze usta i w nasze kieszenie, która ma miliony, która ma budżety, sędziów, księży, lokai, pałace, listy cywilne, wszystkie armie świata — i ani jednego ludu za sobą. Wróg, to jest to co panuje, rządzi i kona w tej chwili". Poeta kończy słowami: „Witam rewolucję przyszłości".*

*Płynie czas i zdziera bielmo z oczu. Naród Ameryki ujrzy swego wroga.*

**Andrzej Skiba**

JERZY K. MACIEJEWSKI

# LISTY Z BRAZYLII

Nazwisko Władysława Wójcika dobrze jest znane Czytelnikom „wsi", która niejednokrotnie drukowała jego ciekawe i wnikliwe listy z życia Polonii brazylijskiej. Wójcik w r. bież. obchodzi 30-lecie swego pobytu na obczyźnie, dokąd wyjechał z biednej wsi w Jasielskiem w poszukiwaniu lepszej doli. Ojciec Wójcika dotychczas gospodaruje na swej zagrodzie i Władysław utrzymuje zarówno z nim, jak i z krajem ożywiony kontakt. Wójcika zawsze cechowały radykalne poglądy, czemu dawał wyraz i przed wojną, współpracując z demokratycznymi pismami, m. in. także w Stanach Zjednoczonych. Prócz bogatego dorobku publicystycznego, Wójcik ma na swym koncie parę pozycji literackich: „Szlakiem przeznaczenia" (Dzieje chłopskiego syna), Kurytyba 1928, „Zemsta Indianina", nowele brazylijskie, Kurytyba 1931, m. in. liczne tłumaczenia z brazylijskiego (portugalskiego). Artykuł ten oparty jest w znacznej mierze na jego listach, prowadzimy bowiem korespondencję od lat z górą dwudziestu. (jkm)

Wieczorami schodzą się u nas — pisał Wójcik — inteligentniejsi sąsiedzi na szimaron w kuchni. Gawędzi się najczęściej po portugalsku, bo towarzystwo jest mieszane. Gdy wieczór jest wolny — czytamy. Żona czyta teraz „Ostatnie ognie" Stan. Zielińskiego, a ja mam dosyć trudny, ale niemniej ciekawy i gruby tom „Biografii Nilu" Emila Ludwiga w brazylijskim przekładzie. Trudno by to nazwać biografią, lecz rzecz sama bardzo aktualna: emancypacja Egiptu, Sudan, chwianie się imperium brytyjskiego, penetracja USA. I nagle, od piramid i fellahów, robi człowiek przeskok najbardziej prozaiczny, bo leci ugotować dla świni kaszę kukurydzianą z maniokiem, nałożyć kaszy w korytka dla kur i kurcząt osobno, naciąć zielonego owsa dla nich itd.

Osadę naszą zamieszkują przeważnie tubylcy. Jedni zajmują się wypasaniem świń; drudzy — ubożsi — to robotnicy przy konserwacji dróg. Ci wracają nad wieczorem z roboty, zasiadają przed swymi nędznymi szałasami i zawodzą tęskne, monotonne pienia przy akompaniamencie gitar.

W miasteczku są dwa kościółki (rzymsko- i grecko - katolicki), w których raz jedni, raz drudzy urządzają „festy" w rodzaju odpustów i tylko w takich okazjach zjawia się tutaj ksiądz albo pop z odległego Caimonu. Kolonie polskie i ukraińskie ciągną się stąd daleko w kilku kierunkach po obu stronach rzeki Ivai. Z miasteczka ich nie widać, gdyż horyzont zasłaniają góry, otaczające wałem nieregularnym samą miejscowość.

Zaliczam się tutaj do ostatniego pokolenia, które przy spotkaniach posługuje się polskim językiem. Unikamy też na ogół nowych przybyszów z Trizonii, ex - londyńczyków, uciążliwych w kontaktach. Na emigracji niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli z dawnych bujd, co ich nieustannie kłóci z rzeczywistością. Z głębokim politowaniem patrzę na te zbaraniałe gromady „uchodźców powojennych", których coraz to nową falę wyrzuca na tutejsze brzegi ten sam Atlantyk, który ongiś wyrzucał emigrację folwarczną — na złamanie karku... Tamtym było o tyle lżej jeszcze, że mało mieli do czynienia z cywilizacją, więc łatwiej mogli przystosować się do *tutejszych warunków*.

Cudzoziemcy nie mają prawie żadnych praw, więc muszą posiadać pieniądze, bo tutaj ich nie zarobią, tym bardziej, że ludzi po 40-stce nie przyjmuje się do pracy zawodowej w przedsiębiorstwach z uwagi na przepisy emerytalne. Prawda, że Brazylia otwiera drzwi dla uchodźców europejskich, ale potrzebuje ich jako robotników na plantacje kawy i bawełny. Czytałem w „Correio do Povo" artykuł na ten właśnie temat.

Nasze „londyńskie" wychodźstwo i brazylijska reakcja jedyny ratunek i remedium widzą w trzeciej wojnie. To też zbroimy się na gwałt po obu stronach La Platy, tzn. na razie szykujemy się całą parą do wielkiej wojny w Azji, którą prasa zapowiedziała po wyborze Eisenhowera. Na jej rachunek zaciągnęła już Brazylia ok. 900 milionów dolarów długów handlowych, które zamierza spłacić dostawami surowców dla USA. Coprawda przeciwko wysyłaniu wojsk jest tu silny opór w Kongresie, ale propaganda prasowa usiłuje go przełamać i na ten cel Rockefeller nie żałuje funduszów.

Chodzi przecież o obronę „cywilizacji chrześcijańskiej", jak twierdził niedawno w Kurytybie gen. Sosnkowski w czasie swej podróży „misyjnej" po Ameryce Południowej. Powiedział m.in., że poleją się łzy, popłynie znowu krew, ale ofiary te są konieczne dla ratowania cywilizacji" (czytaj: majątków generała w Poznańskim). Powiedział również, że Polska jest kluczem pokoju w Europie. Ponieważ brzmiało to zbyt mocarstwowo i przedwcześniowo, mało kto temu uwierzył, nawet wśród emigracyjnej reakcji.

Sosnkowski w asyście kilkunastu księży przypominał do złudzenia starego „sedalisa" Hallera. Jego przyjazd miał na celu pobudzenie wychodźstwa do ofiarności na rzecz tzw. „skarbu narodowego" w Londynie. Stara emigracja zobojętniała jednak dla „londyńskich" spraw polskich i nawet generalskie epolety jej nie wzruszają.

Po wyjeździe Sosnkowskiego powstało wśród Polonii w Kurytybie zamieszanie i ferment. Reakcja tamtejsza podzieliła się na trzy obozy, wzajemnie sobie do oczu skaczące. Poszło o „forsę". Podczas bytności Sosnkowskiego uradzono w kółku zamkniętym sprzedać gmach dawnego Centralnego Związku Polaków, nieczynny obecnie a pobudowany przed samą wojną. Majątkiem zarządzał były konsul wspólnie z kilkoma przezeń mianowanymi osobami z kolonii. Wynajem sal i pomieszczeń dawał im nienajgorsze zyski, z których się nigdy nie wyliczali. Rozbicie na trzy grupy powstało stąd, że jedna z nich z b. konsulem na czele, która doi tę społeczną krówkę od lat, oparła się projektowi sprzedaży z wiadomych względów; druga grupa, złożona ze starej emigracji, żąda oddania gmachu na użytek publiczny kolonii, np. na bursę. W tych warunkach część emigracji żąda zwołania zjazdu kolonii, czemu usilnie sprzeciwiają się „obrońcy demokracji" londyńscy i miejscowi...

* * *

Omówiwszy po krótce zagadnienia, którymi obecnie pasjonuje się wychodźstwo polskie w Brazylii, spróbujmy naszkicować tamtejsze stosunki rolne:

W Brazylii, przy jej 51-milionowej ludności, jest ok. 500 tys. posiadaczy ziemi. Około 10 proc. spośród nich włada 77 proc. prywatnej własności ziemskiej, a więc mniej aniżeli 1 proc. ludności posiada 1/6 powierzchni tego olbrzymiego, bo liczącego 8,5 milj km², kraju. Powiadają, że istnieją fazendy, na których terytorium można by bez trudu ulokować Anglię lub Portugalię. Fazendeiro na swej ziemi jest wszechmocny. Życie jego parobków - peonów niewiele się różni od życia 18 milionów czarnych niewolników, przywiezionych do Brazylii w okresie kolonialnym. Tak jak i wówczas biali ziemię posiadają, czarni ją — uprawiają.

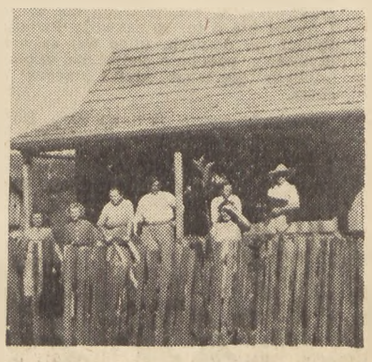

Ludzie pracy w Brazylii — powiedział w parlamencie deputowany Antonio Silva — żyją obecnie w warunkach, które można porównać jedynie z sytuacją niewolników średniowiecza.

Czasy, kiedy w Brazylii żyło się tanio, minęły bezpowrotnie. Dawniej np. kura w mieście kosztowała 20 cent., dziś już dolara (rok. 46). Brak cukru, mąki, mięsa i to w kraju, gdzie wojny nie było i skąd przed wojną esportowano masę żywności! Dyktatura faszystowska wzmocniła tylko czarną giełdę i drożyznę, namnożywszy natomiast nowych milionerów bez liku. To oni właśnie, ci tutejsi paskarze, tyle marzą o nowej wojnie w Europie, bo im się tamta niesłychanie opłaciła.

25.XI 1948 pisze: „korzec kartofli u nas prawie 5 dol.", 22.V 1949: „Stoimy już dobrze u progu ostrego kryzysu powojennego, normalnej zresztą dolegliwości amerykańskiej. W Brazylii przebieg tego „colapso" zapowiada się nawet dramatyczniej, niż gdzie indziej na kontynencie, gdyż kraj nasz nawiedziły ostatnio różne klęski żywiołowe (szarancza, epidemie w hodowli, wreszcie posucha), a system rządów jest tak nieudolny, że niczemu w porę zaradzić nie zdołał. W naszych stronach rolnicy błagali rząd stanowy w ub. roku, żeby się nimi cokolwieczek zajął, żeby im pomógł technicznie do wzmożenia produkcji. Nie dostali nic, nawet za pieniądze, choć domagali się tylko paru reproduktorów, młockarni maszynowej i zboża selekcyjnego.

Chcieliśmy się przerzucić na racjonalny wypas świń, ale nieurodzaj dotknął najbardziej właśnie kukurydzę, której cena skoczyła o 40 proc., a jednocześnie spadła cena tuczników, gdyż USA już tutejszego smalcu nie potrzebuje.

19.III 1952: W kraju sroży się drożyzna artykułów pierwszej potrzeby. Chleb, mięso, fasola, ryż podskoczyły w cenie od N. Roku od 30 do 80 proc. Będziemy mieli rok strajkowy i burzliwy.

13.V 1952: Znów od szeregu tygodni gnębi nas susza i zniechęca do pracy w polu i ogrodzie. Otrzymałem z Jasielskiego trochę nasienia lucerny, zasiałem na próbę i od miesiąca ani kropli wilgoci, nie powschodziła wcale. W niektórych koloniach polskich ludziska wożą wodę dla bydląt o dwie mile drogi i nieraz dalej.

1.IX 1952: W Brazylii obserwujemy coraz bardziej wyraźne objawy kryzysu ekonomicznego, jako wynik „zimnej wojny". Czytam w „International Markets", że Brazylia popuściła sobie wodze z importem towarów luksusowych, licząc stuprocentowo na to, że konflikt koreański przeobrazi się rychło w trzecią wojnę światową...

16.X 1952: Nasz kruzejro kapotuje na potęgę. Inflacja w całej pełni. 28.XI 1952: Dolara wyśrubowano na 40 kruzejrów, podczas gdy oficjalny kurs wynosi — 18... Materiał drzewny u nas niesłychanie drogi, chociaż siedzimy w lasach. Tak się to mówi, bo drzewo z tych lasów to same krzaki i próchno, a jedyny materiał z piniorów znajduje się daleko stąd i transport kosztuje więcej, niż drzewo.

* * *

19.III 1952: Jest kłopot z Danusią, (córka Wójcika) która uczy 50 dzieci w trzech klasach jednocześnie, a władze odmówiły drugiej siły nauczycielskiej. 28.XI 1952: Za parę dni Danusia kończy rok szkolny w Apukaranie, nie otrzymawszy jeszcze poborów za cały czas pracy. Tak wygląda z bliska oświata ludowa w krajach ultra kapitalistycznych. W przyszłym roku ta szkoła będzie nieczynna, gdyż nikt nie pójdzie na podobne warunki pracy. Chyba, że postarają się o jakąś półanalfabetkę.

Według danych brazylijskiego socjologa Izajasza Alvesa, Brazylia pod względem śmiertelności dzieci zajmuje drugie miejsce na świecie. Pomoc lekarska jest niezwykle droga. Masy pracujące w jak najszerszej mierze korzystają z usług znachora, „kurandeiro". 80 proc. dzieci w wieku szkolnym nie chodzi do szkoły. Ameryka Południowa nie bez słuszności nazywana jest „kontynentem analfabetów". Na 96 mln. ludności do analfabetów zalicza się 56 mln. ludzi. Nawet pisma burżuazyjne, jak bazylejska „National Zeitung" (18.IX 1949), stwierdzały, że ta armia analfabetów jest dziełem klas wyższych, które dzięki niej—wg słów Joao Ribeiros — mogą pasożytować, bezkarnie. Dlatego też kampania przeciwko ciemnocie, podjęta przez koła postępowe w r. 1947, została w Brazylii powitana przez masy ludowe z prawdziwym entuzjazmem

* * *

Nowe, wbrew wszelkim wysiłkom czarnych sił reakcji, powoli jeszcze, ale przecież stale wsącza się w masy pracujące. 27.VIII.1950 Wójcik pisał.

1.IX 1952: W stanie Rio Grande do Sul wybuchł powszechny strajk przeciwko szalejącej drożyźnie, w Kurytybie zaś doszło do walki z policją, padło kilku trupów i dopiero interwencja wojska federalnego chwilowo uciszyła wzburzonych robotników. Ale i wojsko nie jest pewne, gdyż kursują w nim dwa prądy. Wyższe szarże są na utrzymaniu USA (o penetracji Stanów Zjedn. w Brazyli innym razem), niższe sympatyzują z masą proletariacką. Toteż coraz częściej na murach domów wykwitają czerwone napisy w rodzaju „Śmierć faszyzmowi w Brazylii!" lub „Precz ze zdrajcami ojczyzny, sprzedającymi ją amerykańskiemu imperializmowi!"

**J. K. Maciejewski**

*Kronika radziecka*

# W WALCE O LITERATURĘ

## POEZJA

*OSTATNIE zebranie Sekcji Poezji Związku Pisarzy Radzieckich tętniło żywą, namiętną dyskusją. Krytyczne i samokrytyczne wystąpienia pisarzy nacechowane były bolszewicką bojowością. W ośrodku zainteresowań znajdował się XIX Zjazd i wypływające zeń nauki dla twórców. Poeci analizowali własną twórczość, dorobek ostatniego okresu, przykładając do wierszy wysoką miarę, która jest odbiciem stałego wzrostu ideologicznych i kulturalnych potrzeb społeczeństwa radzieckiego.*

*Osiągnięcia poezji radzieckiej są ogólnie znane. Tym bardziej, bez fałszywego wstydu, poeci radzieccy mogą mówić o swoich brakach. Troska o pełniejszy, bogatszy, jeszcze bardziej doskonały sens i kształt wiedzy kierowała każdym z dyskutantów.*

*„W literaturze i sztuce — powiedział na Zjeździe Malenkow — pojawia się jeszcze wiele miernych, banalnych, a niekiedy wręcz tandetnych utworów, które fałszują obraz rzeczywistości radzieckiej" Rozwijając tę myśl w stosunku do poezji, znany poeta, Stejan Szczipaczow, w opublikowanym na łamach „Prawdy" artykule pt. „O dobrą poezję", wskazywał na rozbrat między ilością a jakością pojawiających się ostatnio wierszy. Czytelnik traci oczywiście zainteresowanie dla słabych wierszy. „Wytworzyła się paradoksalna sytuacja — podkreślił M. Swietłow — że my, poeci, dowiadujemy się często więcej od czytelnika, niż on od nas. A przecież to my jesteśmy inżynierami dusz ludzkich". W. Zacharczenko opowiedział o swym wyjeździe autorskim do Kara-Kum: „Ludzie, których wypadło mi poznać, chciwie rzucali się na nowe wiersze i byli z nich niezadowoleni".*

*Czas zastanowić się nad tym — orzekła Sekcja — że nasz czytelnik, który kocha, rozumie poezję i szuka stale dobrych wierszy, obecnie niewiele czytuje poezji. O tym mówią liczne listy do redakcji różnego typu czasopism.*

*Przyczyną są oczywiście poważne niedostatki obecnej poezji. Zdaniem dyskutantów najważniejsze wśród nich to: słaba aktywność poezji, brak bojowego temperamentu, ofensywności, styl suchej rejestracji zjawisk, nienadążanie za życiem. Dużą szkodę przyniosła poezji teoria rzekomej „bezkonfliktowości". Na terenie poezji wydała ona bezwolnych statystów jako bohaterów, których życie płynie bez przeszkód i przemian. Teoria ta prowadziła poezję do optymistycznych oleodruków, do zakłamanej pogody w liryce i przedstawiania krajobrazów bez człowieka. Powstawał bohater jednowymiarowy, szary, jednostajny.*

*Dyskutanci podnieśli niedostatki opieki i krytyki ze strony Zarządu Sekcji, który nie zwraca należytej uwagi na młodzież poetycką, na debiutantów, a pobłaża brakom w poezji „wielkich nazwisk".*

*Niezmiernie charakterystyczna, godna uwagi i naśladowania na naszym terenie była szczerość wystąpień, pryncypialność surowej krytyki, nie oszczędzająca najbardziej znanych i wpływowych poetów. Krytyce poddawane były utwory już wydrukowane w znanych czasopismach takich jak „Oktiabr", „Znamia", „Zwiezda", „Ogoniok". Nie szkodzi to ani redakcjom, ani, co ważniejsze, autorom. Bo w Związku Radzieckim twórca wychowuje się publicznie na oczach całego narodu.*

## PROZA

*PROZA ostatniego roku poszczycić się może większymi sukcesami niż poezja. Sekcja pracowała lepiej: odbyła w roku 1952 ponad 20 posiedzeń, omówiła blisko 30 powieści, z których większość ukazała się w druku.*

*Wspólną charakterystyczną cechą prozy radzieckiej ostatniego okresu jest dążność do stworzenia wielkich epopeicznych powieści, ukazujących wszechstronnie bogate życie kraju. Pod wpływem Wielkiej Wojny Ojczyźnianej naród radziecki — pisze „Literaturnaja Gazieta" — wyrósł i zmężniał. Pisarze usiłują zobrazować w swoich dziełach zainteresowanie narodu radzieckiego wypadkami historycznymi w światowej skali. Demonstrują tę dążność na rożnostronnym materiale życiowym, ukazują coraz barwniej bogatą galerię bohaterów, przedstawiają Związek Radziecki i stosunki w państwach kapitalistycznych. Pióro radzieckiego pisarza wykracza poza ojczyste rubieże, zwiedza szerokie tereny świata.*

*Typowym, najdoskonalszym przykładem prozy o tak amoralnych zamierzeniach jest „Dziewiąta jala" Erenburga. Powieść — stwierdza krytyka radziecka — maluje niezmiernie szeroki obraz powojennego życia na świecie od Ameryki do Chin, powszechną walkę narodów o pokój, szeroki opór wobec przygotowań imperialistów do nowej wojny.*

*Ważką pozycję wśród ostatnich powieści zajmuje tematyka Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, ujmowana w jak najszerszej syntezie, z dążnością do pełnego przemyślenia przełomowych wydarzeń. Pisarze nie poprzestają już na malowaniu epizodów, chcą dać całość, epopeję na wzór „Wojny i Pokoju" Lwa Tołstoja, dzieła, stanowiącego narodowy epos 1812 roku. Z tego zakresu krytyka radziecka wymienia jako pozycje najbardziej udane: drugą część „Białej orzozy" pióra M. Bubiennowa i powieść L. Grossmana „O słuszną sprawę".*

*Tematyka klasy robotniczej, jej pracy i przezwyciężanych przez nią trudności w roku ubiegłym znalazła szersze uwzględnienie w utworach pisarzy. Na pierwszym miejscu wymienić tu należy powieści: W. Koczetowa „Żurbinowie", W. Kietlińskiej „Dni naszego życia", B. Polewoja „Współcześni", E. Worobjewa „Wyżyna" i opublikowane w r. 1952 z pośmiertnych rękopisów dzieło P. Pawlenki pt. „Pracownicy pokoju" (o budowie kanału w Ferganie).*

*Ale mówiąc o osiągnięciach, nie należy zapominać o brakach. Ocena zeszłorocznej działalności Sekcji Prozy Związku Pisarzy Radzieckich przez „Literaturną Gazietę" nie szczędzi i samej Sekcji i poszczególnym pisarzom trafnych i gorzkich uwag.*

*Wszystkie słowa krytyki — pisze „Literaturnaja Gazieta" — które rzucono pod adresem pisarzy radzieckich z trybuny XIX Zjazdu, a które mówiły o fałszywym, mechanicznym pojmowaniu typowości, o zacieraniu występujących w życiu konfliktów i kontrastów, o niskiej jakości artystycznej wielu książek, o szarości w przedstawianiu życia — odnoszą się i do prozy.*

*Główny zarzut: pisarze nie pokazują w dostatecznym stopniu kierowniczej, wychowawczej roli Partii. Pisarz wprowadza do akcji sekretarzy organizacji partyjnych i na tym poprzestaje. Nie pokazuje się więc najważniejszego: jak partyjny pracownik wyrósł na przywódcę mas, jak zdobywał autorytet, jak wreszcie wychował go naród do roli organizatora i kierownika życia kraju. Te właśnie braki posiadają przedstawiciele partii w dobrych skądinąd powieściach Koczetowa i Kietlińskiej. Nie umiał także narysować dobrych portretów proletariackich przywódców M. Wirta w powieści „Wieczorny dzwon". Niedostatki zdradzają także powieści: N. Czertowej „Dziewczyna w szynelu", E. Permitina „Górskie orły", a nawet Paustowskiego „Narodziny morza". Powieść K. Paustowskiego o budowie kanału Wołga — Don omawiana była na Sekcji Prozy. W Kawierin, podnosząc ambicje cenionego pisarza (pierwszy dał powieść na temat wielkich budowli komunizmu) wytknął braki w wykonaniu. Bohaterowie wyszli zbyt papierowo. Autor w swoim utworze waha się między szkicem a powieścią.*

*Twórcza dyskusja nad świeżo napisanym utworem pozwala pisarzom sprostować błędy jeszcze przed drukiem.*

*Usunięcie tych braków — kończy „Literaturnaja Gazieta" — pozwoli podnieść poziom prac Sekcji, a tym samym okaże realną pomoc pisarzom.*

**GRZEGORZ TIMOFIEJEW**

JORGE AMADO

# KAMIENNY MUR

Poniższy epizod jest wyjątkiem z nowej powieści J. Amado pt. „Podziemia wolności". Powieść ta jest pierwszą częścią cyklu zatytułowanego „Kamienny mur", w którym autor opisuje walkę ludu brazylijskiego z imperializmem amerykańskim o wyzwolenie narodowe i pokój. Akcja tych powieści toczy się na przestrzeni ostatnich lat począwszy od faszystowskiego zamachu stanu z r. 1937.

PIĘĆ samochodów opuściło u schyłku nocy komendę policji. Barros polecił swoim ludziom uzbroić się solidnie ponieważ trudno było przewidzieć, na jaki natrafią opór. W czasie, gdy wozy przejeżdżały przez uśpione miasto, wypytywał nadal siedzącego obok niego Kameleona. W związku z wydaniem przez zdrajcę drukarni, Barros obawiał się, aby komuniści nie przenieśli się do innego pomieszczenia. Ale nie wydawało mu się to praktycznie możliwe, — nie będą na to mieli dość czasu. Maszyny powinny być na miejscu, przynajmniej maszyny, nie można przecież opróżnić pracowni i uruchomić jej ponownie w ciągu kilku dni, tym więcej, że była ona im potrzebna do drukowania materiału propagandowego kolportowanego w czasie wizyty Getulio... w tej chwili znowu są z pewnością w trakcie drukowania... Barros wyobrażał sobie już, jaka korzyść wynikłaby dla niego z zajęcia tej drukarni i wykorzystania jej dla druku fałszywych ulotek, które rozprowadziłoby się w środowisku robotniczym; w ten sposób można by wywołać sporo zamieszania przedstawiając jako partyjne, hasła, które służyłyby najlepiej planom policji. Uśmiechnął się do swych myśli — zrobili to już raz w Rio de Janeiro, uzyskując doskonałe rezultaty. Zajęcie i zużytkowanie tej drukarni, będzie jego pierwszym wyczynem na stanowisku komisarza. Udowodni w ten sposób, że potrafi nie tylko katować i wykańczać komunistów, ale że nadto zdolny jest do zastosowania metod bardziej przemyślnych, do połączenia pierwszych z drugimi, do kolejnego wykorzystania metod brutalnych i subtelnych. Wykaże, że jest człowiekiem zdolnym do zniszczenia partii w Sao Paulo. Czując, jak Kameleon obok drży na całym ciele, powiedział:

— Jeśli weźmiemy tę drukarnię, dam panu dobrą posadę w policji. Słowo Barrosa...

Kiedy pozostawili za sobą ostatnie domy i wjechali na główną szosę, Kameleon począł wskazywać drogę. Wkrótce znaleźli się w szczerym polu i zaparkowali samochody w pobliżu małego domu. Noc była błękitna, powietrze łagodne i wonne. Od ziemi rozchodził się zapach krzewów wilgotnych od rosy. Wszystko wokół zdawało się uśpione i Barros począł ustawiać swych ludzi. Otoczyli dom zajmując pozycje pomiędzy drzewami rosnącymi w niewielkim ogrodzie, który doń przylegał. Barros wydawał zlecenia:

— Starajcie się nie uszkodzić maszyn... Chcę wykorzystać drukarnię.

Dwu policjantów z rewolwerami w dłoni podeszło do drzwi. Jeden z nich ręką zwiniętą w pięść mocno zastukał. Nie otrzymując odpowiedzi, uderzył raz i drugi kolbą rewolweru. Wśród nocy pachnącej ciszą dźwięki wielokrotniały. Barros podszedł bliżej:

— Trzeba załatwić całą tę sprawę robiąc możliwie najmniej hałasu... Zwłaszcza nie ściągać uwagi sąsiadów. W ten sposób będzie można urządzić tu pułapkę i wychwytać wszystkich łączników drukarni.

I sam począł pukać lekko w drzwi. Posłyszawszy pierwsze uderzenie, stary Oresto wstał i obudził Jofre'a pociągając go za ramię.

— Ktoś puka do drzwi.

Zaczęli nasłuchiwać. Młodzieniec przyklęknął i nachylił głowę w stronę korytarza.

— Biją kolbą rewolweru...

— To policja, powiedział stary.

Jofre potwierdził skinieniem głowy i już był na nogach wydobywając rewolwer; jego młodzieńcza twarz przybrała nagle wyraz dojrzałości. Teraz od drzwi dochodziły lekkie uderzenia, ale Jofre, swym delikatnym słuchem metysa rozróżniał odgłosy kroków.

— Otaczają dom.

*

Zaraz z nimi skończymy! — głos Barrasa rozlegał się już w izbie, do której wdarła się policja. Światło kieszonkowej latarki zaczęło poszukiwać Jofre'a. Jego snop oświetlił mu nagle twarz.

— Jest tam, za szafą...

Gwizdane dźwięki melodii „Bandiera Rossa" zaczęły dobiegać z pomieszczenia, gdzie znajdował się Oreste. Jofre uśmiechnął się: „Kochany staruszek". Policjanci, przedostawszy się przez pokój położony od tyłu, posuwali się teraz korytarzem. Jofre wstał: „lepiej umrzeć z podniesioną głową, jak mężczyzna"...

Gdy światło latarki odnalazło go po raz wtóry, ponownie zaczął strzelać. Upadł, ugodzony salwą kul; wiele z nich trafiło w szafę. Wsparty o jej odrzwia, Jofre osunął się, stracił równowagę, jego głowa uderzyła o podłogę, rewolwer wysunął mu się z dłoni. Policjanci sądzili że wszystko skończone i zapalili światło w pokojach położonych od frontu i od tyłu. Ujrzeli wyciągnięte na ziemi obok szafy, ciało Jofre'a, krew sączącą się z jego piersi.

Ale jednocześnie dostrzegli dym, wydobywający się spoza drzwi pomieszczenia, gdzie były maszyny, a teraz słyszeli wyraźnie dźwięczny głos południowca i słowa pieśni:

Bandiera rossa
triunfera...

Barros, który nachylał się właśnie nad ciałem Jofre'a wyprostował się gwałtownie i krzyknął w stronę swych ludzi:

— Maszyny — tamten podpalił materiały... prędzej! Ale zanim zdążyli poruszyć się, stary Oreste ukazał się w obramowaniu drzwi, dzierżąc w czarnej od popiołu dłoni wysoko wzniesiony rewolwer, śpiewając włoską pieśń buntu:

Evviva il communismo
e la liberta...

— Uwaga, Barros... — ostrzegł któryś z policjantów; komisarz padł na ziemię, prawie na nogi Jofre'a, dostatecznie szybko, aby uniknąć kuli starca. Strzelił, leżąc jeszcze na podłodze, mierzył dobrze, trafił w czoło Włocha. Oreste, dawszy ognia spojrzał na ciało Jofre'a, wyczytał w jego oczach trwożne pytanie. Chciał właśnie odpowiedzieć zapewniając go, że nie ma potrzeby niepokoić się o maszyny, gdy kula dosięgła go w samo czoło. Usiłował pociągnąć za spust swego rewolweru, ale palce odmówiły posłuszeństwa; był to już ostatni wysiłek. Upadł płasko na brzuch, a jego niesforne białe włosy w zetknięciu z krwią, która spływała z piersi Jofre'a, zabarwiły się czerwienią. Prawie równocześnie niezwykły wybuch wstrząsnął domem w posadach. Ściany rozleciały się w kawałki, część dachu rozwarła się, ukazując błękitne niebo. Deszcz żelastwa i odłamków cegieł spadł na policjantów i na leżące ciało. To bomba starego Oreste'a zniszczyła maszyny. Jofre przymknął oczy pełne pyłu, uśmiechnął się. „Jaka szkoda, że stary Oreste nie mógł tego zobaczyć".

Wieśniacy zamieszkujący sąsiednie domy zapełniali drogę, policjanci ich rozpędzali. Barros był wściekły: nie będzie mógł wykorzystać drukarni do sfabrykowania fałszywego materiału propagandowego i nie uda mu się też zamienić domu w pułapkę. Wiadomość rozejdzie się w ciągu kilku godzin. Diabelscy komuniści... Trącił nogą ciało Jofre'a:

— Ten jeszcze żyje... Zanieście go do samochodu. Przenieśli już rannych policjantów — jeden z nich dogorywał. Barros podeszwa swego buta przygniótł twarz Oreste'a.

— Stary łajdak, to on zniszczył maszyny — w swej wściekłości kopał twarz trupa ciężkimi obcasami — przynajmniej ten umarł na dobre.

Cofnął nogę, aby umożliwić policjantom zabranie zwłok. Z samochodu, w którym cały czas pozostawał, Kameleon widział jak układano ciała w drugim wozie. Ogarnął go chłód, przeraźliwy strach, pragnienie ucieczki. Trzeba było, aby któryś z policjantów zatrzymał go brutalnie:

— Gdzie leziesz, kretynie?!

— — — — — — — — — — — — —

Zaczęło się przesłuchanie...

— — — — — — — — — — — — —

W pewnej chwili Barros zwrócił się w stronę Jofre'a, z którego twarzy znikało życie. Spojrzał na złoty zegarek na przegubie.

— Dochodzi wpół do piątej. Jeśli nie wezwę natychmiast lekarza, nie przeżyjesz więcej niż godzinę. Czy nie rozumiesz tego, że umierasz? Nie udawaj głupca...

Jofre podniósł głowę, spojrzał na zwłoki Oreste'a — wydało mu się, że dostrzega uśmiech szczęścia na jego wargach, pokrytych siwizną, najeżonych wąsów. Uczynił nowy wysiłek; przed chwilą nie zdołał krzyknąć „zdrajca" pod adresem Kameleona, tak jak tego pragnął; czy teraz potrafi wznieść ostatni swój okrzyk na cześć Komunistycznej Partii Brazylii, na cześć towarzysza Prestes'a? Jego oczy traciły coraz więcej blasku, siły opuszczały go wraz z krwią, płynącą z ran, z ust wydobył się szept. Barros zauważył ruch tych ust zakrwawionych, zwycięskie zadowolenie rozjaśniło jego twarz.

— Decyduje się złożyć zeznanie!

Pochylił głowę, aby lepiej usłyszeć, by nie utracić ani jednej sylaby i usłyszał rwący się głos umierającego: „Niech żyje Partia Komunistyczna"... Wtedy stracił głowę i wrzasnął wznosząc swą ciężką brunatną rękę:

— Mów psie, mów póki jeszcze czas, nie próbuj udawać twardego, bo ja i twardych potrafię ugiąć — z siłą opuścił rękę.

Dopiero po wymierzeniu drugiego policzka poczuł, że bije trupa. Odsunął się, wytarł w firankę okna swą dłoń splamioną krwią i rzekł złamanym głosem:

— Nie żyje... wolał umrzeć niż mówić, przeklęty!

Świt sączył się przez okienne kraty okrywając ciała zmarłych płaszczem białawego światła.

**Przełożył Ryszard Korn**

Rys. S. Gierowski

PIOTR PIGWA

# HISTORIA CAŁKIEM NIEZWYKŁA

*DZIEJĄ się jeszcze na tym świecie dziwy, chociaż — co prawda — mniej o nich ostatnio słychać. Przytrafiło się nam takie pasmo dziwnych przygód w gminie Radków, włoszczowskiego powiatu. Chcemy je naszym czytelnikom przedstawić, ponieważ nie jesteśmy pewni, czy niezwykłe wydarzenia , w jakich uczestniczyliśmy, dobrze rozumiemy. Musimy ponadto dodać samokrytycznie, iż niektórych w ogóle nie zrozumieliśmy. Ale jak sobie wspólnie obgadamy, może niejedna tajemnica radkowskiej gminy zostanie zbiorowym wysiłkiem wyświetlona.*

*Pozytywny bohater naszej zdumiewającej opowieści to nie dziarski ZMP-owiec, energiczny przewodniczący GRN, ani nawet przodujący strażak, lecz po prostu — SZPILKI, zwykłe szewskie szpilki. Drobiazg to wprawdzie trudny do odnalezienia w niemałej gminie Radków, cóż jednak poradzić, kiedy właśnie owe szpilki, a nie co innego, wywołały ów nieoczekiwany splot okoliczności.*

*Wydarzyło się mianowicie, że sklepowa GS-u ob. Lelonek Maria pobrała za paczkę szpilek „w sposób celowy 85 groszy, zamiast urzędowych 45-ciu groszy". Zacytowaliśmy powyżej opinię miejscowego szewca, ob. Szydłowskiego Mieczysława, który natychmiast po „oburzającym" fakcie wszczął odpowiednie kroki służbowe.*

*I oto macie pierwszą sprawę — czy Maria Lelonek powinna pełnić funkcję sklepowej w GS-ie, czy nie? Z obfitej korespondencji urzędowej, na której widnieją stemple sołtysa, GRN i PZGS można wnosić, że problem nie był wcale łatwy do rozwiązania. Przeciw Marii przemawiały głośno podwyższone ceny nie tylko na artykuły szewskie, ale usunąć jej tak po prostu nie było można ze względu na ciążę. Czytelnicy wybaczą nam, że dotykamy tu spraw nieco drażliwych, lecz jakże ich nie wspomnieć, skoro pisze się o nich służbowo. Oto zarząd GS stwierdził, że Maria jest „osobą samotną, mimo, że wzięła ślub kościelny, jednak z mężem nie mieszka, z tego powodu nie przypuszcza się, że takowa może być w ciąży, tym bardziej, że prezes GS ob. Zbroiński Jan zadając pytanie w powyższej sprawie, otrzymał kategorycznie przeczącą odpowiedź".*

*Ileż w tym niepewnego! No, ale stało się, Marię zwolniono z pracy, prawdopodobnie słusznie, ale gdybyż to na tym się skończyło!*

*Miejsce szpilek szewskich i Szydłowskiego zajęły teraz zające, drzewka owocowe i Sobór Józef, świeżo upieczony w tej podgorączkowej atmosferze korespondent „Gromady". Ale o ile jeszcze sprawę Marii Lelonek jako tako zrozumieliśmy, teraz omotało nas tak wiele sprzeczności i wątpliwości, że musimy odwołać się do zdrowego rozsądku naszych czytelników.*

*Kogóż tu bowiem winić? — Zgłodniałe zające poobgryzały owocowe drzewka spółdzielni w Radkowie. Sobór twierdzi, że Zarząd, który ich nie zabezpieczył, Zarząd zaś uważa, że plaga zajęcy jest szerzej uwarunkowana i w żaden sposób nie można było jej opanować.*

*Spór trwał dosyć długo i nawet nie zdołała go przerwać sprawa nauczycielki, którą z kolei wysunął na forum publiczne Komitet Rodzicielski. Chodziło o to, że ob. Cybulska Honorata otrzymała przydział do szkoły w Radkowie, a uczyła — nie wiedzieć czemu — w Bebelinie.*

*Jak wspomnieliśmy, zające okazały się ważniejsze. Zarząd spółdzielni przyznał, że mógł zabezpieczyć drzewka, ratował co się dało i... oddychacie z ulgą, mili czytelnicy. Tak samo chcieliśmy i my westchnąć sobie spokojnie. Nie pozwoliła nam na to następna z kolei sprawa.*

*Co się stało z rybami, czemu wyginęły marną śmiercią „przez uduszenie" — jak zapewniał wspomniany już raz przez nas korespondent, Sobór Józef. Ano rzeczywiście, dlaczego się podusiło 15 metrów ryb, w tym 3 matki 12-letnie? Zarząd, ten sam, który przyznał, że nie wyzyskał możliwości przeprowadzenia zwycięskiej kampanii przeciw zającom, teraz oświadczył, iż był bezradny wobec śniegu i mrozu. Kto tu ma rację? To pytanie zostało bez odpowiedzi.*

*W tym miejscu musimy przyznać się do pewnej słabości. Mieliśmy już wyżej uszu roztrząsania szewskich igieł, ciąży, zajęcy, nauczycielki i ryb. Zapragnęliśmy po prostu spokoju. Lecz gdzie w Radkowie, dokąd niełaskawy los nas skierował, znaleźć spokojny kąt? Sądziliśmy, że znajdziemy go na kursie dokształcającym dla dorosłych. Jakże srodze się zawiedliśmy! Ledwo bowiem ciepło bijące od pieca rozeszło się po kościach, a już wpadli do środka obywatele — Kisiel Julian, Kwiatkowski Edward i niejaki Butowski. Rozbili piecyk, rury połamali, dali szybko radę i ławce. Tego wigoru nabyli pod wpływem pewnej dozy alkoholu, jak ustalono — 2 litrów „czystej".*

*Nie można się było wycofać do sielskiego zacisza, musieliśmy wrócić na linię frontu, ostro krytykować chuliganów, wyciągać zdecydowane konsekwencje w stosunku do niepoprawnych opojów.*

*Wreszcie — jak się zdawało — nadszedł upragniony koniec. Wędrowaliśmy raźno z powrotem drogą wiodącą z Radkowa do stacji kolejowej Żelisławice. O — twórcza wyobraźni — tyś nam podsuwała obraz setek hektarów falujących dorodną trawą łąk, choć wiał mroźny wiatr i miało się na śnieżycę. Wybaczcie nam tę dygresję. Sądzimy, że i czytelnicy zechcą trochę wypocząć po przejściu tylu perypetii w Radkowie. Odpoczynek zresztą krótki.*

*Jakiż pech, jakaż niewyżyta ciekawość kazała nam zajrzeć do magazynu GS-u w Żelisławicach, gromady dumnej ze swych wspaniałych łąk. Za późno na wycofanie się! Już słychać podochocony głos pana magazyniera Marca. Wybaczcie prosty, zgoła nie literacki, opis. Zabrakło nam już weny na tę nową przygodę. Byliśmy zresztą zupełnie zaskoczeni. Ludzie bez słowa wręczali ob. Marcowi flaszki, pojemności litra, a następnie bez kolejki zabierali worki z nawozami. Co zawierały owe flaszki, tego nie dostrzegliśmy. Niechże łaskawy czytelnik sam odgadnie, co takiego mogły zawierać. Coś w każdym razie tak mocnego, że mogło za jednym zamachem likwidować kolejkę, targi i takie czynności magazyniera, jak wypisywanie kwitów, asygnat itp.*

*Nie było rady, musieliśmy zawrócić, drżąc, że jeszcze się coś nowego przytrafi. I rzeczywiście, przytrafiło się.*

*Ojcowie gminy, gdzieśmy tyle przeżyli, godzili się na opublikowanie sprawy igieł szewskich, Marii Lelonek, zajęcy, nauczycielki, ryb i chuliganów. Natomiast stanowczo przeciwstawili się publikowaniu praktyk w magazynie GS, leżącym na krawędzi łąk żelisławickich.*

*— Człowieku, za dużo tego wszystkiego, jak na jeden krótki rok. Nikt w to wam nie uwierzy! Jeszcze nas posądzą, że zmyślamy. A musicie wiedzieć, że nic nas tak nie boli, jak zarzut kłamstwa.*

*Ot i cała historia, czytelnik może odetchnąć. Nim jednak to uczyni, niechże odpowie na takie pytanie: — czy słusznie uczyniliśmy publikując i owe porozumiewanie się bez słów, zaobserwowane w magazynie u ob. Marca? Co do nas, sądzimy, że wszyscy uwierzą nie tylko w wypadki, jakie rozegrały się na terenie gminy Radków. Uwierzą, co więcej, w aktyw gminny, który je ujawnił i w większości napiętnował, pana magazyniera przede wszystkim.*

**Piotr Pigwa**

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12, tel 7-52-50 Adres redakcji: Warszawa, ul Starynkiewicza nr 7.
Tel.: Red. Nacz. 727-86 Tel.: Redakcji 751-80 dod wewnętrzny 91, 63
Warunki prenumeraty:
mies. — 4,60 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie —.27,60 zł, rocznie — 55,20 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
RSW „PRASA" Warszawa, Marszałkowska 3/5 4-B-10498

JÓZEF CIOSEK

# OPOWIEŚĆ O DOBREJ NAUCZYCIELCE

BĘDZIE to zwykła opowieść o nauczycielce, jednej z tysięcy aktywistek, rozrzuconych po małych i większych gromadach. Nazywa się *Anna Huk*, mieszka i pracuje jako kierowniczka szkoły podstawowej w Zbytowej, pow. Oleśnica, woj. wrocławskie.

Przybyła tam razem z pierwszymi osadnikami. Zjechali tu z Polski centralnej byli fornale, bezrolni i małorolni z kielecczyzny, repartianci zza Buga, biedota z poznańskiego. Ostatecznie ustalił się średniacki profil wsi. Przeważają zdecydowanie gospodarstwa 4—8 ha. Gleba nienadzwyczajna, głównie IV, V i VI klasy. Ludność, która przybyła tu wcześniej (maj, czerwiec i lipiec 1945) zajęła lepsze zabudowania, zabrała się do uprawiania najlepszych kawałków ziemi. Chłopi skupili się regionami, które początkowo silnie się ze sobą ścierały. Podstawowe antagonistyczne grupy to tzw. „tajojki" — ludność z Podola i „szabrownicy" — ludność ruchliwa, przedsiębiorcza, głównie z poznańskiego i kieleckiego, ci co potrafili się najlepiej urządzić. Ale zarówno „tajojki" jak i „szabrownicy" byli w konflikcie z przysiółkiem Łąki, gdzie i gleba lepsza i budynki dostatniejsze. „Tamci mają lepiej, sadzą buraki i sieją pszenicę, mają bogate łąki. A my? Żytko tylko i żytko, kozy nam hodować a nie konie". W tym częstym powiedzonku zawierało się ekonomiczne i najistotniejsze źródło konfliktu. Oczywiście były i inne. Każda część gromady posiadała odmienne zwyczaje, rozmaite tradycje kulturalne. Co wesele to inny obrządek. Owe odrębności kulturalne były początkowo przedmiotem drwin i docinków.

Na weselach i przy innych okazjach pito często wódkę i to bez względu na regionalne pochodzenie. Budynki w gromadzie były zaniedbane. Zdarzało się często, że z 2—3 izb zajmowali chłopi po jednej, w pozostałych urządzali kurniki, gołębniki, zawalali je najrozmaitszymi rupieciami, woląc gnieździć się w kuchni. Króliki hulały po domach, zanieczyszczając podłogi i meble. Zdarzały się wypadki trzymania pierza lub otrąb w wannie, niszczono niekiedy bezmyślnie instalacje elektryczne, nie umiejąc z nich korzystać, zwłaszcza, gdy chodziło o elektryczne kuchenki czy grzejniki. Może to i drobiazg, ale kładły się niereperowane płoty, chwasty i muł niszczyły rowy odwadniające. Wroga propaganda skierowana przeciwko osiedlaniu się na Ziemiach Odzyskanych okazywała swą skuteczność właśnie w tym zaniedbaniu, braku troski o własny i nowy rodzinny dom.

W takim to okresie powstała szkoła podstawowa, zorganizowana przez Annę Huk, nauczycielkę liczącą około 40 lat.

Z uruchomieniem szkoły, której losy splotły się nierozerwalnie z losami gromady, nie było kłopotu. Wszyscy chłopi chętnie szli z pomocą przy remoncie, wszyscy cieszyli się, że szkoła powstała. Jej entuzjaści i wrogowie ujawnili się wyraźnie dopiero wtedy, kiedy polityczny charakter nauczania i pracy społecznej Hukowej stał się jasny.

Hukowa wiedziała, że nie może być mowy o normalnej pracy szkoły bez powiązania jej z najżywotniejszymi sprawami gromady. Pamiętam nasze rozmowy.

— Starsi muszą być szkołą nie mniej zainteresowani niż dzieci, rodzice powinni bywać u nas tak często jak i ich pociechy.

Lecz jak taki stan osiągnąć? Hukowa zaczęła od matek, zainteresowanych szkołą poprzez swoje dzieci. Widywałem tego niestrudzonego człowieka w tysiącach rozmaitych sytuacji. W szkole, na ulicy, po chałupach, na pierwszych w dziejach gromady zebraniach — wszędzie ucinała pogwarki z chłopkami. Po kilku miesiącach jej skromne mieszkanie nauczycielskie przemieniło się w ośrodek życia społecznego kobiet. Jakich sposobów użyła Hukowa? Dlaczego większość matek „przykleiła" się do niej na zawsze?

Koleżanka Anna weszła po prostu w najważniejsze dla kobiet sprawy. Zabrała się do higieny. Prawie nie do wiary, ale odbierała dzieci przy porodzie, dawała sobie radę z leczeniem zwierząt, co zyskało jej sympatię nawet chłopów. W roku 1946 zwrócił się do mnie lekarz powiatowy, bym zabronił kol. Huk praktyk, które powinien wykonywać lekarz albo weterynarz. Pan doktór z powiatu groził sądem. W gromadzie zawrzało.

— Dać nauczycielce dyplom położnej, przyznać prawo porad co do racjonalnego hodowania inwentarza, do „babek" i magików chodzić nie będziemy. Nauczycielka jest uczony człowiek i tyle — tak dałaby się krótko streścić opinia gromady w tej sprawie. Zbytowa wygrała walkę o uznanie dla swojej „pani". „Pani" natomiast wygrała co innego. Nie idzie nawet o to, że ludzie przywykli do termometru, gruszki lekarskiej, worka do okładów, bańek, czy lekarstw.

Powstał *Komitet Rodzicielski!* O to właśnie Hukowej chodziło. Lecz nie był to komitet złożony z ludzi zainteresowanych wyłącznie postępami dziecka w nauce, lecz aktyw, *pierwszy aktyw* w Zbytowej, walczący o higienię i kulturę, zainteresowany równocześnie w racjonalnej hodowli. I dlatego właśnie z miejsca zaistniały przesłanki innej wyższej formy pracy i walki o podniesienie kultury i gospodarki.

Wyobraźcie sobie taką sytuację: schodzą się w szkole wieczorami kobiety, gwarzą o lepszym wyposażeniu szkoły, omawiają walkę o odpowiednie warunki pracy dla dziecka. Ale równocześnie słuchają radia, czytają wspólnie gazety i znowu gwarzą o naszym pięknym kraju. Wsłuchują się uważnie w treść książki czytanej przez kol. Hukową. Początkowo nikt nie protokółował tych „zebrań", byli nawet tacy we wsi, co pogadywali, że się kobietom robić nie chce to plotkują.

Te zebrania Komitetu Rodzicielskiego doprowadziły do nowego zwycięstwa. Nie chodzi o to tylko, że dzieci podniosły wydajność w nauce, otrzymały swój autonomiczny „kącik odrabiania lekcji", a frekwencja w szkole osiągnęła 99 proc. I nawet nie o to, że zakwitły kwiaty na stołach po domach, ulice wsi zaświeciły czystością, podobnie podwórka, w oknach pojawiły się latem siatki przeciw muchom.

Gromada weszła na nowy etap. Dojrzała sprawa uruchomienia świetlicy i Koła Gospodyń Wiejskich. Był to rok 1948. Gromada wyremontowała poniemiecki barak, a założona tam świetlica wypełniła się ludźmi. Tam właśnie dzieci zdobyły serca swoich ojców, patrzących na „babską" robotę trochę „zezem".

Koło Gospodyń Wiejskich stanowi jeden z piękniejszych rozdziałów historii szkoły i gromady Zbytowa.

Hukowa zaczęła od spraw pozornie niewaźnych. Radziła, jak urządzać wesela, chrzciny, układała racjonalny jadłospis i trzeba powiedzieć, że wbrew oporowi mężczyzn kobiety gotowały „naukowo". Jeszcze tego roku Hukowa i zespół nauczycielski zaproponowali kurs dla analfabetów. Trzeba było widzieć energię członkiń Komitetu Rodzicielskiego i Koła Gospodyń Wiejskich w akcji „prowadzenia za uszy" mężów. W roku 1949 nie było już ani jednego analfabety w gromadzie. Ale osiągnięcia prowadzą do powstania nowych potrzeb. Byli analfabeci zorganizowali kurs dokształcający, który przemienił się następnie w zespół planowego czytania. Z tego koła wyszli — obecny sołtys, przewodnicząca gromadzkiej komórki Ligi Kobiet, członek Zarządu Gminnego ZSCh.

Mieliśmy w Zbytowej kilkakrotnie nagrywane audycje radiowe, mówiły do radia na cały kraj nasze dzieci, przemawiali i starsi. Ale to mówienie do całego kraju miało i ten odwrotny skutek, że się ludzie w gromadzie więcej zainteresowali Polską niż kiedykolwiek. Na zebrania partyjne i ZSL, gdzie sekretarzuje Hukowa, posiedzenia Koła Gospodyń wnosili ludzie swoją wiedzę o budownictwie socjalistycznym w kraju. To było nowe osiągnięcie, próba uchwycenia zasadniczej drogi całego kraju do socjalizmu.

Latem 1950 roku powstał żłobek i dzieciniec. Ludzie spokojnie pracowali w polu, żniwa przeszły sprawniej niż dotąd, gromada szybciej odstawiła zboże. I tak to rozwiązanie sprawy najmłodszych w Zbytowej postawiło przed gromadą następny z kolei problem. Przodownicy w dostawach żyta, jęli przemyśliwać o sąsiadach, którzy pszenicę sieją i dobrze wychodzą na burakach.

Zwiastuny przełomu wystąpiły wyraźnie w roku 1951, kiedy to po raz pierwszy i nieśmiało rozpoczęto dyskutować statuty spółdzielni produkcyjnych. Okazało się, że szkoła, gdzie odbywały się głównie zebrania dyskusyjne ma także i wrogów. Frekwencja wyraźnie osłabła, pojawiły się typowe plotki o dzwonku wzywającym do pracy, wspólnych kotłach i żonach. Lecz specyfiką Zbytowej jest to, że plotka, wroga propaganda może przyjść tylko z zewnątrz, gdyż gromada jest pod względem klasowym jednorodna i jeżeli idzie do spółdzielni produkcyjnej poprzez konflikty, to są one nieantagonistyczne. I dlatego po pewnym czasie ludzie sami się przekonali, że nie ma pośród nich przeciwników czy wrogów.

W naszej Zbytowej zapomniano już dawno i o regionalnych kłótniach. A co do przysiółka Łąki, to występuje raczej coś w rodzaju współzawodnictwa. Zbytowianie chcą pokazać, że i u nich porosną pola pszenicą, pokryją się burakami choć gleba gorsza. W pomoc przyjdzie socjalistyczna organizacja pracy, wiedza rolnicza, nawozy i maszyny.

Spółdzielnia produkcyjna zawiązała się w roku 1952. Znam dobrze zbytowiaków. Droga, jaką przebyli od zdezorganizowanej, i skłóconej, zacofanej i mało kulturalnej gromady do kolektywu spółdzielczego, pozwala przypuszczać, że znów o nas usłyszą w kraju ludzie.

Usłyszą także o przodującej szkole i jej kierowniczce *Annie Huk*, której, jako kolega, poświęciłem tę opowieść.

**Józef Ciosek**

*Obserwacje nauczycieli wiejskich*

# KORESPONDENCJA

## W sprawie artykułu dyskusyjnego „O Kołach Młodych"

*Oświadczenie Koła Młodych przy Oddziale Z.L.P. w Szczecinie*

*W ZWIĄZKU z artykułem dyskusyjnym Leszka Mecha: „O Kołach Młodych", zamieszczonym w numerze 4 (390) tygodnika społ.-kult. „Wieś" z dnia 25 stycznia 1953 r., komunikujemy co następuje:*

*1) Nieprawdą jest, jakoby Koło Młodych w Szczecinie istniało od 1947 roku, gdyż w owym czasie nie było w Szczecinie nawet Oddziału ZLP. Koło nasze powstało dopiero w kwietniu 1951 r., czyli przed niespełna dwoma laty.*

*2) Nieprawdą jest, że opiekun Koła Witold Wirpsza pojawiał się na zebraniach raz na miesiąc. Kol. Wirpsza był opiekunem Koła do września ub. r. i przez ten czas brał czynny udział w jego pracach. Od jesieni 1952 r. gdy Koło otrzymało innego opiekuna, kol. Wirpsza nadal utrzymuje żywy kontakt z członkami Koła, chętnie służąc im radą i pomocą. Pozostali członkowie miejscowego Oddziału ZLP w Szczecinie również przychodzili na zebrania Koła. Kol. Boniecka prowadzi dla członków Koła wykłady z historii literatury polskiej.*

*3) Nieprawdą jest, że udział członków w pracach Koła jest minimalny, jak podaje w swym artykule L. Mech — zebrania Koła odbywają się co niedzielę, wygłaszane na nich referaty wywołują żywe dyskusje (referat kol. Beera „O reportażu", kol. Bursewicza „O światopoglądzie pisarza", kol. Wojciechowskiego W. „Postawa społeczna w twórczości Broniewskiego i Majakowskiego", kol. Madeja „O humanizmie socjalistycznym" — wygłoszony na otwartym zebraniu Koła w Kiwbie Międzynarodowej Książki i Prasy). Ponadto członkowie Koła biorą aktywny udział w samokształceniu i wykładach z historii literatury polskiej i starożytnej, które odbywają się trzy razy na miesiąc. Twórczość członków Koła omawiana jest metodą seminaryjną — referatów i koreferatów, przygotowywanych przez członków Koła.*

*4) Nieprawdą jest, iż nikt z członków Koła Młodych w Szczecinie nie otrzymał stypendium. W ubiegłym roku Komisja Młodzieżowa przy ZG ZLP przyznała dwóm członkom Koła (Zygmuntowi Beerowi i Stanisławowi Daukszy) trzymiesięczne stypendia. Kol. Beer przebywa obecnie jeszcze w terenie, kol. Dauksza wykorzystał stypendium wyjeżdżając na teren Białostocczyzny, gdzie zebrał cenne materiały m. i. dotyczące strajku robotników leśnych, które przekazał Wydz. Historii Partii przy KC. Obecnie na podstawie zebranych materiałów kol. Dauksza zaczął pisać powieść.*

*5) Nieprawdą jest, jakoby Koło Młodych w Szczecinie nie pozyskało dotąd żadnych nowych członków. Od r. 1951 przybyło 6 nowych na 8 dawnych członków. Poza tym jeden z członków Koła (kol. Piotrowski) został przyjęty na kandydata Oddziału ZLP w Szczecinie. Z własnej inicjatywy członkowie Koła kilkakrotnie wyjeżdżali z wieczorami autorskimi do szkół (w Myśliborzu, Zdrojach itp.), jak również organizował podobne spotkania na terenie zakładów pracy w Szczecinie.*

*6) Nieprawdą jest, że członkowie Koła nie nawiązali kontaktu z codzienną prasą miejscową. Istniejący od r. 1951 przy codziennej gazecie partyjnej „Głos Szczeciński" tygodniowy dodatek „Życie i Kultura", zamieścił w r. 1951 — 19, w r. 1952 — 33 prace członków Koła (proza, wiersze, reportaże, przekłady). Dwóch członków Koła pracuje stale w redakcji „Głosu Szczecińskiego". Nadto Koło współpracuje z Polskim Radiem, ogłaszając co pewien czas swoje utwory.*

*Praca Koła Młodych w Szczecinie — jako jednego z najmłodszych i znajdującego się w specyficznie trudnych warunkach (brak uczelni humanistycznej — stąd odpływ absolwentów szkół średnich na wyższe studia w tym kierunku do innych miast i trudność rekrutacji nowych członków) — zasługiwałaby, naszym zdaniem, na osobne omówienie, jednak nie w formie tak fałszywej i niesłusznej — a więc szkodliwej — jak uczynił to Leszek Mech.*

*Opiekun Koła Młodych*
*MARIA KURECKA*
*Zarząd Koła Młodych*
*przy Oddziale ZLP w Szczecinie*
*T. WOJCIECHOWSKI*
*wiceprzewodniczący*
*K. SUCHODOLSKA*
*sekretarz*

*Szczecin, dnia 28 stycznia 1953 r.*

# Gazetka gminna

## Współzawodnictwo

Nic chyba tak nie pasjonowało mieszkańców Opatkowic Murowanych, jak dramatyczne współzawodnictwo Heleny Pronobis z niejakim Świetlikiem. Chodziło o rzecz niebyle jaką. Helena Pronobis, sklepowa w GS-ie chciała za wszelką cenę przewyższyć swego konkurenta, prywatnego sklepikarza z gromady Grudzyny. Chytra sklepowa przyjęła taką metodę: śledziła pilnie za postępowaniem przeciwnika, a następnie robiła to samo, tylko jeszcze lepiej.

Nie prowadził Świetlik rachunków, nie prowadziła częściowo i ona. Oczywiście w tym względzie szanse były nierówne. Nasza sklepowa musiała od czasu do czasu mieć coś wspólnego z rachunkami ze względu na kontrolę, wyraźnie hamującą współzawodnictwo.

Otwierał sklepikarz swój interes jak mu się podobało, nie inaczej dzielna Helena. Z tym wszakże skutkiem, że kiedy lu lzie drogą przewidywań dochodzili zazwyczaj do tego, kiedy Świetlik otwierzy sklep, to w wypadku sklepu GS-u w żaden sposób przewidywania nie pomagały. Ostatecznie jednak w pierwszym etapie nie zarysowała się wyraźna przewaga którejś ze współzawodniczących stron.

Drugi etap współzawodnictwa, znacznie jakościowo wyższy, cechowała obustronna pomysłowość. Bo i zważcie tylko! Wiadra kosztowały w grudniu ub. roku po 10 zł za sztukę. U Świetlika, jeśli się trafiały, to po 13 zł. W łeb drania! U Pronobisowej — po 14 zł! A w ogóle gdzie sklepikarzowi do niej! Za podkowy, kosztujące 1,50 za sztukę, umiał brać zaledwie po 4 złote, podczas gdy nasza triumfatorka równie 6 zł.

I czy można się dziwić, że gromada z zapartym tchem śledziła przebieg tej niezwykłej walki? Chłopi tak się dalece owym współzawodnictwem przejęli, że pisywali do PZGS-u w Jędrzejowie listy, kończące się zazwyczaj takim zdaniem: póki u nas będzie Helena Pronobis — **ora pro nobis** PZGS-ie!

Bigotów w PZGS-ie na szczęście nie było, sprawa potoczyła się szybko. Helena przerwała szybko współzawodnictwo, opatrzona urzędowym pisemkiem o bardzo wymownym tytule — wymówienie.

Niechże niesumienni sklepowi przeczytają uważnie, co napisaliśmy, unikną w wypadku poprawy podobnego pisemka. Amen!

**Jerzy Kiljent**

## Zapowiedź dobrej korekty

W ostatnim okresie korekta w naszym piśmie przekroczyła wszelkie granice niesumienności i niedbałości. Od numeru bieżącego (6) kładziemy kres temu procesowi kaleczenia artykułów.

Walkę o czystość korekty zaczynamy od smutnego obrachunku numeru poprzedniego (5), który dać może czytelnikowi wyobrażenie o spustoszeniach sianych przez korektę. Oto błędy:

| | |
|---|---|
| — w interpunkcji (kropki, przecinki) | — 79 |
| — zmiany nazw lub nazwisk | — 7 |
| — powtórzenie lub opuszczenie wyrazów | — 5 |
| — zmiana słów (inna treść) | — 5 |
| — błędy literowe | — 24 |
| — ortograficzne i gramatyczne | — 18 |
| — duże i małe litery | — 6 |
| — brak podpisów pod rysunkami | — 9 |
| — niewłaściwy krój liter | — 2 |
| razem | — 155 |

Koniec z taką korektą. Zobowiązujemy się — nowi korektorzy — do 100-procentowego wypełniania naszych obowiązków pracy.

Korektorzy

## Fraszka na omyłkę „Wsi"

W wierszu I. B. Ożoga pt. „Pod pomnikiem Lenina w Poroninie" znajduje się pomyłka natury historycznej.

**Biednym redaktorom nie przyszło do głowy**
**Sprawdzić: Smolny czy Zimowy...**

**Wiesław Uważny**

## „Bar pod lipą"

Gdyby nie aktyw, jaki powołał do życia ob. Leon Piwowarczyk, nikt zapewne z szerokiego świata nie dowiedziałby się o małej gromadzie Pozowice, gm. Wielkie Drogi, pow. Kraków. Aktyw ten w rekordowym tempie rozsławił skromną wieś w okolicy. Nic dziwnego, dobrali się przecież sami przodownicy.

Taki np. Gigoń przoduje równocześnie na dwóch polach. Wywołał rekordową, od wielu lat niespotykaną, ilość awantur rodzinnych a przytym wyróżnia się jako twórca całego szeregu oryginalnych wyzwisk, rzucanych nie tylko wobec żony i dzieci, ale nawet GRN, dopominającej się o terminową dostawę tuczników. Tomasz Wyroba i jego syn Mieczysław, to znowu prawdziwie tęgie głowy. Dwa dni i dwie noce potrafi taki jeden z drugim wódę ciągnąć, a potem śpi spokojnie drugie tyle, jakby się nic nie stało. Co zaś się tyczy takich aktywistów jak Dziobek Jan czy Czekaj Rudolf — to bez kija nie przystąp. To też koncepcjonaliści łamią sobie mianowicie każdej niemal nocy głowy nad rozwiązaniem ważnych problemów, oznaczanych popularnie kryptonimami — „oko" i „pokerek". Królem czy waletem! — oto sprawy, jakie obaj rozwiązują.

Pozostaje wreszcie sprawa przodownictwa Leona Piwowarczyka. Chcemy podkreślić przede wszystkim jego organizującą rolę. On to bowiem — nie kto inny — zcementował aktyw przy pomocy domu, na którego drzwiach można było przeczytać skromny napis: „Bar pod lipą". Cechą charakterystyczną instytucji skupiającej naszych przodowników było to, że wódka płynęła tam jak woda na młyńskie koło. Z innych zasług ob. Piwowarczyka warto wymienić jeszcze jedną. Oto uczynił on z mieszkańców gromady niezwykle dzielnych piechurów. Pozowiczan w marszu nie pobijesz, tak się nauczyli latać do odległych GS-ów po artykuły pierwszej potrzeby, a to dlatego, że ob. Piwowarczyk mając na względzie zdrowie fizyczne gromady, trzymać ich nie raczył.

Jak zauważyliście całą tę historię napisaliśmy w czasie przeszłym. Nie można było inaczej, gdyż aktyw został rozpędzony na cztery wiatry, a „Bar pod lipą" zlikwidowany.

Pozostaje jeszcze wyjaśnić sprawę sławy gromady w szerszym świecie. Otóż polega ona na zdemaskowaniu owych „aktywistów".

**Jan Biegała**

## Żywot gospodarza niepoczciwego

Roku Pańskiego 1952 żył we wsi Gostyniec, powiatu Kamień Pomorski, pewien gospodarz na 11 ha nazwiskiem Feliks Kamiński. Jakoś z wiosną, koło świętej Anieli, coś się jego krowie odmieniło i stała się nagle tak bardzo nerwowa, że ani litra z niej nie udoić. Nikt tego na własne oczy nie widział, bo Feliks pozbył się jej niezwykle szybko za 2.000 zł. Coś jednak stać się musiało, gdyż w aktach GRN odnajdujemy jego prośbę o zwolnienie z dostaw mleka oraz podanie o pożyczkę w wysokości 1.700 zł na kupno nie nerwowej, spokojnej krowy.

W maju, na święty Florian pożyczkę pobrał, złożył jednak ofiarę dziękczynną na święty Franciszek, a więc w tydzień później. Odkąd bowiem Straż Pożarna uratowała jego obórkę przed ogniem, znienawidził św. Floriana, winiąc go za stratę premii asekuracyjnej.

Jeszcze w maju, na święty Feliks, a więc w dzień swoich imienin, zakupił dwa piękne cielęta. Zapłacił za nie 1.200 złotych, zostało mu 1.500 zł, było więc za co się zabawić.

Koło św. Medarda wpłynęło do GRN wspomniane już jego podanie o zwolnienie z dostaw mleka, gdyż przerzuca się na hodowlę świń. Natomiast powiatowy przedstawiciel CUSiK-u przyjął osobiście pobożnego Feliksa, który prosił o ulgi w kontraktacji, a to z tej prostej przyczyny, że właśnie zbiera pieniądze na spokojną krowę. Było to nieco później, na św. Dominik, na krótko przed żniwami.

Aby już cała Polska wiedziała o jego zabiegach gospodarczych, wypisał list urzędowy do Redakcji „Gromady", który doszedł 9 grudnia na Walerii i Leokadii.

Odpowiedź na wszystkie podania otrzymał z PRN w Kamieniu Pomorskim 29.XII.1952 na św. Tomasz. Nieszczęśliwy to dzień. Tomasz — jak wiadomo — niedowiarek. Nasz Feliks Kamiński w żaden sposób nie chce uwierzyć w pismo z PRN, z którego jasno wynika, że sabotuje akcję kontraktacji i regularne dostawy mleka.

Będzie w kraju takich niedowiarków więcej. Przeczytajcie im tę prawdziwą przypowieść najbliższego, zwykłego dnia, w którym pracują uczciwi ludzie. Powinni zrozumieć.

**Piotr Mucha**

## Ostatni wojewoda

Jak było naprawdę z przysłowiowym biednym szlachcicem, który miał dorównać wojewodzie — tego nie wiemy. Ustaliliśmy natomiast z absolutną pewnością, że chłop na zagrodzie, zwłaszcza uczciwy, Wojewodzie dorównać nie może.

W gromadzie Barycz, poczta Wesoła, pow. Brzozów (rzeszowskie) żył do niedawna i to wcale niezle — Maciej Wojewoda, ojciec czworga dzieci. Żył lepiej niż którykolwiek spośród mało, a nawet średniorolnych chłopców. I jakże to się stało, że Wojewodzie, właścicielowi 1,6 ha ziemi nikt dorównać nie mógł? Skąd u niego 2 ładne krowy, 3 kozy i spora trzódka świniaków? Nie na tym koniec zagadki — czem dzieci syte, nad podziw pięknie ubrane, choć żadne z nich nie pracuje, a przynajmniej dwójka mogłaby? Chłopakowi przeszedł właśnie 25 rok, dziewczynie minęło 18.

To co nieraz wydaje się mało prawdopodobne i na cud zakrawa, najczęściej bywa bardzo proste. Uchylmy rąbka tej niezwykłej tajemnicy.

Przede wszystkim nieprawdą jest jakoby Wojewodowie nie pracowali. Przeciwnie — zwijają się bardzo energicznie, przyczem w rodzinie obowiązuje naukowy podział pracy. Pani Maciejowa nadstawia pilnie uszu na ludzkie nieszczęścia. Zgorzał np. Stecowi Piotrowi, co jest drużnikiem — dom, natychmiast pan Maciej wędruje po gromadzie i okolicy zbierając ofiary na pogorzelca. Jeżeli dostanie, dajmy na to, męską garderobę — przerabia ją syn. Kiedy zaś od pioruna spali się obejście Józefa Początka, a dobrzy ludzie ofiarują co nieco z kobiecych rzeczy — przerabia je córka. A pani matka wynosi na rynek w Brzozowie, gdzie ku chwale rodziny sprzedaje.

Od czasu do czasu występuje Maciej gościnnie w sąsiednich powiatach. Najczęściej jako napoły ubrany, głodny żebrak, albo chory na nogi nieszczęśnik. A że rodzina pracuje już tak od 20-stu prawie lat, cóż więc dziwnego, iż z racji jubileuszu zabiła sobie tej zimy dwa piękne świniaki?

Ponieważ całe to wydarzenie jest prawdziwe od początku, godzi się dopisać mu prawdziwe zakończenie.

Ano zakończył swój lekki żywot ostatni w tych stronach Wojewoda. Ludzie nazwali go zwykłym bumelantem, podobnie syna i córkę. Brzydko — to prawda. Ale też przywrócili im życie. Pan Maciej, synek i córeczka wzięli się do uczciwej pracy. Straciło swoją moc przysłowie o chłopach nierównych Wojewodzie, powstało inne: jak się Wojewoda znarowi to go praca uzdrowi.

**Józef Wichura**